

Hermann Hesse

Siddhartha

Przełożyła Małgorzata Łukasiewicz

CZEŚĆ PIERWSZA

Do Romain Rollanda

Drogi czcigodny Przyjacielu!

Od jesieni 1914 roku, gdy ja również odczułem nagle straszliwy ciężar, dławiący od niedawna życie duchowe, i gdy stojąc na przeciwległych brzegach podawaliśmy sobie ręce w uznaniu tych samych ponadnarodowych konieczności, pragnąłem dać Panu jakiś znak mego uczucia, a zarazem próbkę mojej twórczości i wgląd w zaprzętąjące mnie myśli.

Proszę serdecznie, by pozwolił Pan zadedykować sobie pierwszą część mego nieukończonego jeszcze indyjskiego poematu.

Hermann Hesse

Syn bramina

Siddhartha dorastał w cieniu rodzicielskiego domu, w słońcu nad brzegiem rzeki, gdzie kołysały się łodzie, w cieniu lasu, w cieniu drzewa figowego. Młody sokół rósł pięknie, a razem z nim rósł Gowinda, jego przyjaciel, jak on syn bramina. Białe ramiona Siddharthy brązowiały od słońca nad rzeką, przy kąpielach, przy świętych ablucjach, przy składaniu świętych ofiar. Czarne oczy chłoneły cień w zagajniku mangowców, przy chłopięcych zabawach, przy śpiewie matki, przy składaniu świętych ofiar, przy naukach uczonego ojca, przy rozmowach mędrców. Siddhartha od dawna już uczestniczył w rozmowach mędrców, ćwiczył się razem z Gowindą w pięknej wymowie, razem z Gowindą zaprawiał się w sztuce medytowania, w służbie kontemplacji. Umiał już wymawiać bezgłośnie słowo Om, potrafił to słowo nad słowami bezdźwięcznie wdychać w siebie i bezdźwięcznie je wydychać, w skupieniu duszy, z czołem w blasku jasno myślącego ducha, jasnego umysłu. Posiadł już wiedzę o atmanie ukrytym w głębi jego istoty, niezniszczalnym, stanowiącym jedno ze wszechświatem.

Serce ojca wypełniała radość z pojętnego, chciwego wiedzy syna, widział w nim przyszłego mędrca i kapłana, pierwszego pośród braminów.

Pierś matki wypełniało błogie uczucie, gdy na niego patrzyła, gdy widziała, jak Siddhartha chodzi, jak siada i wstaje, jaki jest silny i dorodny, jak stąpa na smukłych nogach, jak pozdrawia ją z całym należnym matce szacunkiem.

Gdy Siddhartha przechodził ulicami miasta, z jasnym czołem, z królewskim wejrzeniem, smukły w biodrach — w sercach młodych dziewcząt z bramińskich domów budziła się miłość.

Ale bardziej jeszcze kochał go jego przyjaciel Gowinda. Kochał spojrzenie Siddharthy i jego wdzięczny głos, kochał jego chód i doskonałą grację jego ruchów, kochał wszystko, cokolwiek Siddhartha czynił i mówił, a najgoręcej kochał jego ducha, górne, płomienne myśli, żarliwą wolę, wzniosłe powołanie. Gowinda wiedział, iż ten nie zostanie zwykłym braminem, leniwie pełniącym swój urząd ofiarnikiem, żądnym zysku handlarzem magicznych formułek, próżnym, czczym krasomówcą, złym, podstępny kapłanem ani też potulną owieczką w stadzie równie głupich i poczciwych. Nigdy — a i on sam, Gowinda, nie chciał dla siebie takiej przyszłości, nie chciał być braminem, jakich setki i tysiące. Chciał iść w ślady Siddharthy, którego

kochał i wielbił. A jeśli Siddhartha miałby stać się bogiem, jeśli miałby należeć do grona Świetlistych, Gowinda pójdzie za nim i będzie mu przyjacielem, towarzyszem, sługą, będzie nosił za nim włócznię, będzie jego cieniem.

Siddharthę otaczała zewsząd miłość. Umiał każdego ucieszyć, dla każdego być radością.

Siebie jednak nie cieszył, dla siebie nie był radością. Przechadzając się po różanych ścieżkach figowego sadu, przesiadując w błękitnym cieniu gaju kontemplacji, odbywając codzienną kąpiel pokutną, składając ofiary w cienistym lesie mangowym, pełen godności w gestach, powszechnie kochany i wszystkim niosący radość, nie znajdował jednak radości we własnym sercu. Nachodziły go marzenia i niespokojne myśli, napływały z falą rzeki, szły z roziskrzonych gwiazd na niebie i z promieni słońca, wysnuwały się z ofiarnych dymów, rozbudzały od wierszy Rigwedy, sączyły z nauk starych braminów.

Siddhartha poczuł żywić w sercu niezadowolenie. Zaczynał czuć, że miłość ojca i miłość matki, i także miłość przyjaciela Gowindy nie zawsze i po wszystkie czasy będzie go uszczęśliwiała, nie na zawsze go zaspokoi, nasyci i nie na zawsze mu wystarczy. Począł się domyślać, że najgodniejszy ojciec i inni nauczyciele, że mądrzy bramini już mu przekazali największą i najlepszą część swojej mądrości, że przelali już całe swoje bogactwo w jego wyczekujące naczynie i naczynie nie napełniło się, umysł cierpiał niedosyt, dusza nie była spokojna, serce nie zaznało uciszenia. Ablucje były dobre, ale była to woda, nie zmywała grzechów, nie gasiła pragnienia ducha, nie przepędzała serdecznego lęku. Ofiary i wzywanie bogów były wyborne — ale czy to miało być wszystko? Czy ofiary dawały szczęście? A jak to było z bogami? Czy naprawdę Pradžapati stworzył świat? Czy świat nie był dziełem atmana, Jedynego i Wyłącnego? Czy bogowie nie byli stworzeni, czy nie byli stworzeniami jak każdy z nas, podległymi czasowi, przemijalnymi. Czy więc dobrze jest, czy jest słusznie, czy jest rzeczą rozumną i wzniosłą składać bogom ofiary. Komu należało składać ofiary, komu oddawać cześć jeśli nie Jemu, Jedynemu? A gdzie go szukać, gdzie on mieszka, gdzie bije jego wieczne serce, gdzie, jeśli nie w naszej własnej jaźni, w tym najgłębiej ukrytym, niezniszczalnym pierwiastku, który każdy nosi w sobie? Ale gdzie, gdzie jest ta jaźń, ten najgłębszy ostateczny pierwiastek? Mędrzy uczyli, że nie jest z ciała ani z kości, nie jest świadomością ani myślą. Więc gdzie jest? Dotrzeć tam, do tej jaźni, do siebie, do atmana — czy warto szukać jakiejś innej drogi? Ale tej właśnie drogi nikt nie wskazywał, nikt jej nie znał, ani ojciec, ani mistrzowie i mędrzy, ani święte śpiewy

ofiarne! Bramini wiedzieli wszystko, w ich świętych księgach zawierała się wszelka wiedza, wszystko wiedzieli i więcej jeszcze niż wszystko, o wszystkim myśleli, o stworzeniu świata, o powstaniu mowy, o pokarmach, wdechu, wydechu, o porządku umysłów, o uczynkach bogów – wiedzieli nieskończenie wiele, ale czy warto wiedzieć to wszystko, jeśli nie wiedziało się tej jednej rzeczy, najważniejszej, jedynej naprawdę ważnej?

Owszem, liczne wiersze świętych ksiąg, zwłaszcza upaniszady Samawedy mówiły o tym najskrytszym, ostatecznym pierwiastku, i były to wspaniałe wiersze. “Twoja dusza jest całym światem” było tam napisane i było napisane, że we śnie, w najgłębszym śnie człowiek dociera do rdzenia swej istoty i przebywa w atmanie. W tych wierszach zawierała się cudowna mądrość, w magicznych słowach zgromadzona była cała wiedza mędrców, klarowna jak zebrany przez pszczoły miód. Nie, nie można lekceważyć tego ogromu wiedzy, zebranego tu i przechowywanego przez niezliczone pokolenia mądrych braminów. Ale gdzie byli ci bramini, gdzie kapłani, gdzie mędrzy albo pokutnicy, którym udało się nie tylko osiągnąć tę najgłębszą wiedzę, ale nią żyć? Gdzie szukać mędrca, który owo życie w atmanie potrafił przenieść ze snu na jawę, w życie, w codzienność, w słowa i uczynki? Siddhartha znał wielu czcigodnych braminów, należał do nich przede wszystkim jego własny ojciec, czysty, uczony, godny najwyższej czci. Ojciec zasługiwał wszak na podziw – obejście miał spokojne i szlachetne, wiódł czyste życie, wypowiadał się rozumnie, jego czoło było siedliskiem subtelnych i wzniosłych myśli – ale choć tyle wiedział, czy osiągnął stan błogości, czy zaznał spokoju, czy i on nie był skazany na poszukiwanie, na pragnienie? Czy nie musiał wciąż na nowo gasić pragnienia u świętych źródeł, w ofiarach, w księgach, w dysputach braminów? Dlaczego, choć nigdy nie skalał się żadnym brudem, musiał dzień w dzień obmywać się z grzechów, dzień w dzień zabiegać o oczyszczenie, co dzień od nowa? Czy nie mieszkał w nim atman, czy w jego własnym sercu nie było źródło źródeł? Trzeba odnaleźć to źródło, odnaleźć je w samym sobie, trzeba je w sobie mieć! Cała reszta była poszukiwaniem, była okrężną drogą, błędzeniem.

Tak myślał Siddhartha, tego pragnął, z tej przyczyny cierpiał.

Często przepowiadał sobie słowa z upaniszady Chandogja: “Zaiste, imię brahmana jest satyam – prawda. Kto posiadał tę wiedzę, ten wstępuje co dnia w świat niebiański”. Niebiański świat zdawał się często tak bliski, ale Siddhartha nigdy nie dosięgnął go naprawdę, nigdy nie ugasił pragnienia do ostatka. I żaden spośród wszystkich mądrych i najmędrzych ludzi, których znał i którzy udzielali mu swej

nauki — żaden nie osiągnął owego niebiańskiego świata, żaden nie ugasił wiecznego pragnienia.

— Gowindo — rzekł pewnego razu Siddhartha do przyjaciela — Gowindo, chodź ze mną pod drzewo banyana, będziemy kontemplowali.

Poszli pod drzewo, usiedli na ziemi, tu Siddhartha, dwadzieścia kroków dalej Gowinda. Siadając, gotów wypowiedzieć Om, Siddhartha powtórzył cicho wiersz:

*Om jest łukiem, strzałą dusza,
Brahman jest celem strzały,
Dosięgnąć go trzeba niechybnie.*

Gdy upłynął zwykły czas kontemplacji, Gowinda podniósł się. Był już wieczór, pora na wieczorne ablucje. Zawołał Siddharthę. Siddhartha nie odpowiedział. Siedział kontemplując, oczy miał utkwione w dalekim celu, koniuszek języka wysunął mu się nieco z ust, zdawało się, że nie oddycha. Siedział tak zatopiony w kontemplacji, skupiony na Om, wysławszy duszę, jak strzałę ku brahmanowi.

Kiedyś przez miasto Siddharthy przechodzili samanowie, pielgrzymujący asceci, trzej żyłaści, wyschli mężczyźni, ani starzy, ani młodzi, z barkami okrytymi kurzem i krwawiącymi, prawie nadzy, ogorzali od słońca, zamknięci w swej samotności, obcy i wrodzy światu intruzi i wychudłe szakale w królestwie ludzi. Otaczała ich aura cichego cierpienia, wyniszczającej służby, bezlitosnego wyrzeczenia.

Wieczorem, po medytacji, Siddhartha powiedział do Gowindy:

— Jutro rano, przyjacielu, Siddhartha pójdzie do samanów. Zostanie samaną.

Gowinda pobladł, gdy usłyszał te słowa, a z nieruchomej twarzy przyjaciela odczytał decyzję, nieodwracalną, jak nie można odwrócić biegu wypuszczonej z łuku strzały. Od razu, od pierwszej chwili zrozumiał: oto początek, Siddhartha wyrusza w swoją drogę, tu rozpoczyna się jego los, a razem z nim mój los. Pobladł tak, że jego twarz przybrała barwę wyschniętej skórki banana.

— Siddhartho — zawołał — czy ojciec ci na to pozwoli?

Siddhartha spojrział na niego jak człowiek, który budzi się ze snu. Z szybkością strzały odczytał, co dzieje się w duszy Gowindy, odczytał lęk i oddanie.

— Gowindo — wyrzekł cicho — szkoda tracić słów. Jutro o świcie rozpocznę życie samanów. Nie mówmy już o tym.

Siddhartha wszedł do izby, gdzie na trzcinowej macie siedział ojciec, stanął za nim i stał tak długo, aż ojciec wyczuł, że ktoś za nim stoi.

— Czy to ty Siddhartho? — przemówił bramin. — Mówże więc, co przyszedłeś powiedzieć.

— Za twym pozwoleniem, ojcze — rzekł Siddhartha. — Przyszedłem powiedzieć ci, że moim pragnieniem jest opuścić jutro twój dom i przystać do ascetów. Pragnę zostać samaną. Oby mój ojciec się temu nie sprzeciwił.

Bramin milczał i milczał tak długo, że w otworze okienka przesunęły się gwiazdy i zmieniły konstelacje, a w izbie wciąż trwało milczenie. Syn stał bez słowa i nieruchomo ze skrzyżowanymi ramionami, ojciec siedział bez słowa i nieruchomo na macie, po niebie zaś wędrowały gwiazdy. Wreszcie ojciec przemówił:

— Braminowi nie przystoją słowa porywcze i gniewne. Ale w moim sercu panuje wzburzenie. Nie chciałbym słyszeć tej prośby z twoich ust po raz drugi.

Bramin podniósł się wolno, Siddhartha stał w milczeniu ze skrzyżowanymi ramionami.

— Na co czekasz? — spytał ojciec

— Wiesz, na co czekam — rzekł Siddhartha.

Ojciec poruszony opuścił izbę, pełen wzburzenia udał się na nocny spoczynek.

Po godzinie, gdy sen nie nadchodził, wstał, zrobił parę kroków, wyszedł z domu. Zajrzał przez małe okienko do izby, zobaczył, że Siddhartha stoi wciąż, nieporuszony, ze skrzyżowanymi ramionami. Jasna szata połyskiwała bladawo. Z niepokojem w sercu ojciec wrócił na posłanie.

Po godzinie, gdy sen nie nadchodził, bramin wstał ponownie, uczynił parę kroków, wyszedł przed dom, zobaczył wschodzący księżyc. Spojrzał przez okno do izby, Siddhartha stał bez ruchu, ze skrzyżowanymi ramionami, na jego nagich goleniach kładło się światło księżyca. Z troską w sercu powrócił na posłanie.

I przyszedł znowu po godzinie i znowu po dwóch godzinach, zaglądał przez okienko, widział jak Siddhartha stoi, w świetle księżyca, w blasku gwiazd w ciemności. I przychodził co godzina bez słowa, zaglądał do izby, widział stojącego bez ruchu syna, serce wypełniał mu gniew, wypełniał je niepokój, wątpliwości, cierpienie.

W ostatniej godzinie nocy, zanim zaczął się dzień, wrócił znowu, wszedł do izby, popatrzył na syna i syn wydał mu się olbrzymi i jak gdyby obcy.

— Siddhartho — rzekł — na co ty czekasz?

— Wiesz na co czekam.

- Będziesz tak stał i czekał aż wstanie dzień, aż przyjdzie południe, wieczór?
- Będę stał i czekał.
- Zmęczysz się, Siddhartho.
- Zmęcę się.
- Zaśniesz, Siddhartho.
- Nie zasnę.
- Umrzesz, Siddhartho.
- Umrę.
- I wolisz umrzeć, niż posłuchać ojca?
- Siddhartha zawsze słuchał ojca.
- Więc wyrzekniesz się swego zamiaru?
- Siddhartha zrobi, co powie mu ojciec.

Do izby wpadł pierwszy brzask dnia. Bramin dostrzegł, że kolana Siddharthy drżą lekko. W twarzy nie dostrzegł drżenia, oczy patrzyły w dal. Wtedy pojął, że Siddhartha nie mieszka już u niego, wśród swoich, że syn już go opuścił.

Dotknął jego ramienia.

— Pójdziesz do lasu — rzekł — i zostaniesz samaną. Jeśli znajdziesz w lesie ukojenie, przyjdź i naucz mnie ukojenia. Jeśli się rozczarujesz, wróć, będziemy znowu razem składali bogom ofiary. A teraz idź i ucałuj matkę, powiedz jej, dokąd idziesz. Na mnie już czas, muszę iść nad wodę i zacząć pierwsze ablucje.

Zdjął rękę z ramienia syna i wyszedł. Siddhartha zachwiał się, próbując uczynić krok. Opanował członki, skłonił się ojcu i poszedł do matki, tak jak powiedział mu ojciec.

Kiedy o pierwszym brzasku dnia z wolna, na zeszywniałych nogach opuszczał ciche jeszcze miasto, przy ostatnim domu podniósł się jakiś cień, skulony tam w kucki, i przyłączył się do Siddharthy — Gowinda.

- Przyszedłeś — powiedział Siddhartha i uśmiechnął się.
- Przyszedłem — rzekł Gowinda.

U samanów.

Wieczorem tego dnia dogonili ascetów, wyschłych samanów, i zaofiarowali się im towarzyszyć i okazywać posłuszeństwo. Zostali przyjęci.

Siddhartha podarował swą szatę ubogiemu braminowi na gościńcu. Nosił już tylko przepaskę na biodrach, a za całe okrycie służył mu prosty kawał materii barwy ziemi. Jadł tylko raz dziennie i nigdy nic gotowanego. Pościł przez dwa tygodnie. Pościł przez cztery tygodnie. Twarz mu wychudła, uda opadły z ciała. W wyogromniałych oczach rozpały się gorączkowe wizje, u wychudzonych palców wyrosły długie paznokcie, na twarzy suche kępki brody. Gdy spotykał kobietę, jego wzrok tężał jak bryłka lodu; na widok pięknie ubranych ludzi usta wykrzywiały mu grymas pogardy. Widział handlujących przekupniów, książąt wyruszających na polowania, żałobników oplakujących zmarłych, stręczące się dziewczki, lekarzy opiekujących się chorymi, kapłanów wyznaczających dzień na zasiewy, kochających się kochanków, matki karmiące dzieci — i wszystko to nie było warte jego spojrzenia, wszystko kłamało, wszystko cuchnęło, cuchnęło kłamstwem, udawało sens, szczęście i piękno, a kryło w sobie zgniliznę. Świat smakował gorzko. Życie było udręką.

Siddhartha miał przed sobą tylko jeden cel: wyzbyć się wszystkiego, wyzbyć się pragnień, wyzbyć się marzeń, wyzbyć się radości i cierpienia. Obumrzeć dla samego siebie, wyzbyć się siebie, znaleźć spokój w opustoszałym sercu, zapomnieć o samym sobie i otworzyć się na cud — oto, do czego dążył. Kiedy jaźń zostanie pokonana i umrze, kiedy ucichną wszelkie zapąły i drgnienia serca, musi obudzić się to coś ostatecznego, ten rdzeń istnienia, który nie jest już jaźnią, ta wielka tajemnica.

Siddhartha stał w milczeniu pod południowym żarem słońca, palił go ból, paliło pragnienie, i stał tak, póki ból i pragnienie nie ustąpiły. Stał w milczeniu pod strugami ulewy, gdy przyszła pora deszczowa, woda spływała z włosów po zmarzniętych barkach, po zmarzniętych biodrach i nogach, a pokutnik stał tak, aż w końcu nie czuł już chłodu, członki przestały dygotać, znieruchomiały. Milcząc kucał w ciernistych zaroślach, z otwartych ran ciekła krew, z wrzodów ciekła ropa, a Siddhartha trwał nieruchomo, trwał jak skamieniały, aż krew przestała ciec, aż nic już nie kłuło, nic już nie bolało.

Siddhartha siadał wyprostowany i uczył się oszczędzać oddechu, uczył się obywać niewielką porcją zaczerpniętego powietrza, uczył się wstrzymywać oddech. Uczył się poprzez oddech uspokajać bicie serca, zmniejszać liczbę uderzeń, aż serce uderzało coraz rzadziej i nie uderzało już prawie wcale. Pouczony przez najstarszego samaną, Siddhartha ćwiczył się w wyrzeczeniu, uprawiał kontemplację, według nowych reguł, jakie wyznawali samanowie. Nad bambusowym gajem przeleciała czapla — i Siddhartha ogarniał ptaka swoją duszą, leciał nad lasem i górami, był

czaplą, żywił się rybami, czuł głód czapli, mówił krzykiem czapli, umierał śmiercią czapli. Na piaszczystym brzegu leżał martwy szakal i dusza Siddharthy wślizgiwała się w zwłoki, była martwym szakalem, leżała na brzegu, puchła, cuchnęła, gniła, rozszarpały ją hieny, sępy odzierały ze skóry, stawała się szkieletem, prochem, rozwiewała się. I dusza Siddharthy wracała znowu, zaznawszy śmierci, gnicia, rozpadu, zaznawszy mrocznego odurzenia w kole przemian i z nowo obudzonym pragnieniem czatowała, któredy by się wyrwać z zamkniętego koła, tam, gdzie kończy się łańcuch przyczyn, gdzie rozpoczyna się wieczność bez cierpień. Uśmiercał zmysły, uśmiercał pamięć, uciekał od swojego ja w tysięczne obce kształty, był zwierzęciem, był padliną, był kamieniem, drzewem, wodą i za każdym razem znowu się budził, w świetle słońca czy w świetle księżyca, był znowu sobą, był jaźnią, krążył w zamkniętym kole, czuł pragnienie, przezwycięzał pragnienie, czuł nowe pragnienie.

U samanów Siddhartha nauczył się wielu rzeczy, poznał wiele dróg ucieczki od ja. Szedł drogą samozaparcia przez ból, przez dobrowolne znoszenie i pokonywanie bólu, głodu, zmęczenia. Szedł drogą samozaparcia przez medytację, przez oczyszczenie umysłu z wszelkich wyobrażeń. Poznał tę i inne drogi, tysiącokrotnie porzucał swoje ja, godzinami i dniami przebywał poza tym, co było jego jaźnią. Ale choć drogi te odwodziły go od własnego ja, to przecież na koniec wiodły z powrotem do niego. Choć Siddhartha tysiącokrotnie umykał jaźni, przebywał w nicości, w zwierzęciu, w kamieniu, powrót był nieunikniony, nieuchronnie nadchodziła chwila, kiedy znowu odnajdował siebie, w blasku słońca albo w blasku księżyca, w cieniu drzew albo pod strugami deszczu i znowu był jaźnią, był znowu Siddharthą i znowu czuł udrękę wiecznie obracającego się koła.

Obok niego żył Gowinda, jego cień, podążający tymi samymi drogami, podejmujący te same wysiłki. Rzadko rozmawiali ze sobą inaczej niż wymagały tego służba i praktyki. Niekiedy wędrowali razem po wsiach, by uzbierać pożywienia dla siebie i swoich nauczycieli.

— Jak myślisz, Gowindo — rzekł w czasie jednej z tych żebraczych wypraw Siddhartha — jak myślisz, czy zaszliśmy dalej? Czy osiągnęliśmy nasze cele?

— Uczyliśmy się i uczyliśmy się dalej — odparł Gowinda. — Ty zostaniesz wielkim samaną, Siddhartho. Nauczyłeś się szybko wszystkich praktyk, starzy samanowie często cię podziwiali. Zostaniesz świętym, Siddhartho.

— Jest chyba inaczej, przyjacielu — odrzekł Siddhartha. — Czego nauczyłem się do tej pory u samanów, tego, o Gowindo, mógłbym nauczyć się szybciej i prostszym

sposobem. W każdej gospodzie z dziewczkami, gdzie zachodzą wozacy i gdzie gra się w kości, nauczyłbym się tego samego, przyjacielu.

— Siddhartha żartuje sobie ze mnie — rzekł Gowinda. — Jakżebyś miał nauczyć się od tych biedaków kontemplacji, zatrzymywania oddechu, odporności na głód i ból?

A Siddhartha odezwał się cicho, jakby do siebie:

— Czym jest kontemplacja? Czym jest porzucanie ciała? Czym jest post? Czym zatrzymanie oddechu? Ucieczką od ja, krótkim wytchnieniem od udręki bycia sobą, krótkim odurzeniem, które chroni przed bólem i bezsensem życia. Tę samą ucieczkę, to samo krótkotrwałe odurzenie znajduje poganiacz bydła w karczmie, gdy wypije parę czarek ryżowego wina albo sfermentowanego mleka kokosowego. Nie czuje wtedy ciężaru swego ja, nie czuje już bólu życia, znajduje na krótko odurzenie. Drzemiąc nad swoją czarką wina, znajduje to samo, co Siddhartha i Gowinda, gdy przez długie praktyki wymykają się z ciała, wykraczają poza ja. Tak to jest, Gowindo.

— Mówisz tak, przyjacielu — Gowinda na to — choć wiesz dobrze, że Siddhartha nie jest poganiaczem bydła, a samanowie nie są pijakami. Pijak znajduje odurzenie, to prawda, udaje mu się na krótko uciec i znaleźć wytchnienie, i to prawda, ale wraca z szaleństwa i zastaje znowu wszystko tak jak było, nie zmądrzał od tego, nie zgromadził wiedzy, nie wzniósł się ani o szczebel wyżej.

A Siddhartha odrzekł z uśmiechem:

— Nie wiem tego, nigdy nie byłem pijakiem. Ale wiem, wiem dobrze, Gowindo, że ja, Siddhartha, w tych ćwiczeniach i kontemplacji znajduję tylko krótkotrwałe odurzenie, i jestem równie daleki od zbawienia jak dziecko w łonie matki.

I znowu któregoś razu, gdy Siddhartha z Gowinda opuścili puszczy, aby uzbierać we wsi trochę pożywienia dla braci i nauczycieli, Siddhartha począł mówić i mówił tak:

— I jak, Gowindo, czy jesteś na dobrej drodze? Czy zbliżamy się do poznania? Do wybawienia? A może kręcimy się tylko w kółko — właśnie my, którzyśmy chcieli wyrwać się z wiecznego koła?

— Wieleśmy się nauczyli, Siddhartho — odrzekł Gowinda — wiele jeszcze nauki przed nami. Nie kręcimy się w kółko, idziemy w górę, koło jest spiralą, wspięliśmy się już o kilka stopni.

— Jak sądzisz — Siddhartha na to — ile lat może mieć najstarszy samana, nasz czcigodny nauczyciel?

— Może sześćdziesiąt — odrzekł Gowinda.

— Sześćdziesiąt lat — rzekł Siddhartha — i nie osiągnął nirwany. Będzie miał siedemdziesiąt i osiemdziesiąt, a my, ty i ja, też się zestarzejemy i będziemy uprawiali ćwiczenia, będziemy pościli, będziemy medytowali. Ale nirwany nie osiągniemy, ani on, ani my. Ach, Gowindo, myślę, że spośród wszystkich samanów, jacy istnieją, żaden może nie osiągnie nirwany. Znajdujemy pociechę, znajdujemy odurzenie, zdobywamy umiejętności i tym się łudzimy. Ale tego, co istotne, drogi dróg, nie znajdujemy.

— Siddhartho — rzekł Gowinda — przerażasz mnie tymi słowami. Jakże to, pośród tylu uczonych mężów, pośród tylu braminów, pośród tylu samanów, którzy przestrzegają najsurowszej reguły i zasługują na najwyższą cześć, pośród tylu świątobliwych żaden nie miałby znaleźć drogi dróg?

Siddhartha rzekł głosem, w którym było tyleż smutku co drwiny, cichym, trochę smutnym, trochę drwiącym głosem:

— Twój przyjaciel, Gowindo, wkrótce opuści ścieżkę samanów, którą tak długo z tobą podążał. Cierpię pragnienie, Gowindo, a w czasie tej długiej drogi to pragnienie nic się nie zmniejszyło. Zawsze pragnąłem wiedzy, zawsze miałem mnóstwo pytań. Zwracałem się z pytaniami do braminów, przez całe lata, i przez całe lata zwracałem się z pytaniami do świętych ksiąg i przez całe lata zwracałem się z pytaniami do pobożnych samamanów. I zdaje się, że równie dobrze mogłem zwracać się z tymi pytaniami do tukanów albo do szympanów, Gowindo, i byłoby to równie mądre i z równym pożytkiem dla zbawienia. Potrzebowałem dużo czasu, Gowindo, a jeszcze nie uporałem się z tym do końca, żeby się nauczyć, że nie można się niczego nauczyć. Myślę, że nie ma naprawdę takiej rzeczy, którą nazywamy "nauką". Jest to wiedza, mój drogi, i ta wiedza jest wszędzie, to atman, który jest w tobie i we mnie i w każdym istnieniu. I dochodzę oto do przekonania, że największym wrogiem tej wiedzy jest wola wiedzy, że najgorsze, co możemy zrobić, aby ją osiąść, to uczyć się.

Wtedy Gowinda przystanął na drodze, wznosił ręce i rzekł:

— Czemu straszysz, Siddhartho, przyjacielu, takimi słowami? Doprawdy, budzisz lęk w moim sercu. I pomyśl przecież o świętości modlitw, o godności stanu braminów, o świętości samanów, — jakież by to miało znaczenie, jeśliby miało być tak jak mówisz, jeśli nie istniałoby coś takiego jak nauka. Co by się stało z tym wszystkim, Siddhartho, co jest święte na tej ziemi, co wartościowe, godne szacunku?

I zamruczał cicho werset z upaniszady:

*Niewysławiona jest błogość w sercu tego,
Kto w zadumie, z rozjaśnionym umysłem,
pogrąża się w atmanie.*

Siddhartha jednak milczał. Rozmyślał nad słowami Gowindy, chciał je przemyśleć do końca.

Tak, myślał stojąc z pochyloną głową, co pozostanie z rzeczy, które wydają nam się święte? Co się zachowa? Co ma trwałą wartość? I potrząsał głową.

Kiedyś, gdy obaj młodzieńcy przebywali już około trzech lat u samanów i dzielili ich praktyki, rozmaitymi drogami dotarła do nich nowina, pogłoska, wieść przekazywana z ust do ust, że oto pojawił się ktoś imieniem Gautama, Wzniosły, Budda, który pokonał w sobie cierpienie, jakie musi znosić człowiek na tym świecie, i wstrzymał koło ponownych narodzin. Wędruje nauczając po całym kraju, otoczony uczniami, bez majątności, bez ojczyzny, bez kobiet, w żółtej opończy ascety, ale z pogodnym czołem i błogością w sercu, a bramini i książęta oddają mu pokłon i zostają jego uczniami.

Ta opowieść, ta pogłoska, ta bajka rozbrzmiewała zewsząd, rozchodziła się na wszystkie strony jak czarowny zapach, w miastach mówili o tym bramini, w lesie samanowie, do uszu chłopców wciąż powracało natrętne imię Gautamy, Buddy, wspominane dobrze i źle, z uwielbieniem i pogardą.

Kiedy jakaś okolica zostanie dotknięta dżumą, a rozejdzie się wieść, że tam a tam jest człowiek, mędrzec, cudotwórca, którego słowo i tchnienie wystarczy, aby uzdrowić ofiarę zarazy, wieść taka przebiega cały kraj i każdy ją powtarza i wielu wierzy, wielu żywi wątpliwości, wielu zaś natychmiast wyrusza w drogę, aby odszukać mędrca i uciec się do jego pomocy. Tak właśnie obiegała kraj owa legenda, otoczona szczególną aurą legenda Gautamy, Buddy, mędrca z rodu Śakjów. Zdobył on — powiadali, ci co wierzyli — najwyższą wiedzę, pamiętał swoje poprzednie wcielenia, osiągnął nirwanę i nigdy nie wróci już w krąg istnień, nigdy nie zanurzy się w mętny strumień doczesnych tworów. Powiadano o nim wiele rzeczy wspaniałych i niewiarygodnych, czynił cuda, pokonał diabła, rozmawiał z bogami. Ale wrogowie i ci, co w niego nie wierzyli, powiadali, że ów Gautama to marny uwodziciel, że przepędza dnie w dostatkach, gardzi ofiarami, nie ma wykształcenia, nie uprawia ćwiczeń ani umartwień.

Legenda o Buddzie miała w sobie jakąś słodycz, wszystkie te wieści tchnęły jakimś czarem. Wszak świat był chory, życie było nieznośnie ciężkie, a tu oto zdawało się tryskać źródło, tu rozbrzmiewało posłanie, niosące pociechę, łagodne, niosące szlachetne obietnice. Wszędzie, dokąd tylko dotarła wieść o Buddzie, we wszystkich krainach indyjskich młodzieńcy nadstawiali uszu, budziła się w nich tęsknota, budziła się jakaś nadzieja, a synowie braminów po wsiach i miastach witali radośnie każdego pielgrzyma i przybysza, jeżeli przynosił wiadomość o Wzniosłym, o Pustelniku z rodu Śakjów.

Wieść ta dotarła też do samanów w lesie, dotarła do Siddharthy i do Gowindy, powoli, sącząc się po kropelce, a każda kropla była ciężka od nadziei i ciężka od wątpliwości. Niewiele o tym mówili, bo najstarszy samana nie witał tych wieści przyjaźnie. Posłyszał, że ów rzekomy Budda był niegdyś ascetą i żył w lesie, a potem zwrócił się ku uciechom i światowemu życiu — i miał Gautamę za nic.

— Siddhartho — rzekł pewnego razu Gowinda do przyjaciela — byłem dziś we wsi i pewien bramin zaprosił mnie do swego domu, a przebywał tam akurat pewien młodzieniec z Magadhy, który widział był na własne oczy Buddę i słyszał, jak naucza. Zaiste, uczułem ból w piersi i pomyślałem sobie: gdybym i ja, gdybyśmy my obaj dożyli godziny, kiedy będzie nam dane usłyszeć naukę z ust Tego, który osiągnął doskonałość. Powiedz przyjacielu, czy nie pójdziemy tam i nie wysłuchamy nauki z ust Buddy?

— Myślałem zawsze — rzekł Siddhartha — że Gowinda zostanie u samanów, sądziłem zawsze, że celem jego jest dożyć lat sześćdziesięciu i siedemdziesięciu i wciąż ćwiczyć się w umiejętnościach i praktykach, jakie przystoją samanie. Ale widać za mało znałem Gowindę, za mało wiedziałem o jego sercu. Więc i ty, najlepszy druhu, chcesz obrać nową drogę i iść tam, gdzie Budda głosi swoją naukę.

— Raczysz sobie kpić — rzekł Gowinda. — Kpij sobie, Siddhartho! Lecz czy i ty nie pragniesz wysłuchać tej nauki, czy nie czujesz w sobie takiej chęci? I czy nie powiedziałeś mi, że nie będziesz podążał dłużej drogą samanów?

Siddhartha roześmiał się na swój sposób, trochę smutno i trochę drwiąco, i rzekł:

— Słusznie powiedziałeś, Gowindo, słusznie powiedziałeś i dobrze pamiętasz. A więc przypomnij sobie też coś innego, co ode mnie usłyszałeś: że oto stałem się podejrzliwy wobec nauk i uczenia, że mnie to zmęczyło, że mało mam wiary w słowa,

które można usłyszeć od nauczycieli. Ale dobrze, mój druhu, jestem gotów wysłuchać tej nauki — choć serce mi mówi, że jej najlepszych owoców jużemy zakosztowali.

— Twoja gotowość cieszy moje serce — rzekł Gawinda. — Ale powiedz mi, jakże to możliwe? Jakże to nauka Gautamy miała obdarzyć nas swymi najlepszymi owocami, zanim jeszcze ją posłyszeliśmy?

— Korzystajmy z tych owoców i zaczekajmy na resztę, Gowindo — rzekł Siddhartha. — Te owoce zaś, które już dziś zawdzięczamy Gautamie, to to, że każe nam opuścić Samanów. Czy ma nam do zaoferowania jeszcze coś więcej i coś lepszego, przyjacielu, czekajmy spokojnie, a przekonamy się.

Tego samego dnia Siddhartha powiadomił najstarszego temanę o swojej decyzji. Powiadomił go o tym grzecznie i skromnie, jak przystoi młodemu człowiekowi i uczniowi. Samana jednak wpadł w gniew, podniósł głos i sypał złorzeczeniami. Gowinda przeląkł się i zmieszał, Siddhartha jednak pochylił się do jego ucha i wyszeptał:

— Udowodnię temu starcowi, że czegoś się u niego nauczyłem.

Przysunąwszy się bliżej samany, cały skupiony, złowił wzrokiem jego wzrok, zapanował nad nim, zmusił do milczenia, obezwładnił, poddał swojej woli, bezgłośnie rozkazał mu czynić to, czego od niego żądał. Starzec umilkł, jego spojrzenie znieruchomiało, wola została sparaliżowana, ramiona opadły, bezwolnie uległ mocy Siddharthy. A skoro myśli Siddharthy nim zawładnęły, musiał spełnić ich rozkazy. I starzec skłonił się kilkakrotnie, wykonał gest błogosławieństwa, zająkliwie wypowiedział pobożne życzenie dobrej drogi. Młodzieńcy odwzajemnili pokłony, odpowiedzieli na pozdrowienia i odeszli. W drodze Gowinda rzekł:

— Siddhartho, nauczyłeś się u samanów więcej niż przypuszczałem. Trudno przecież zaczarować starego samana. Doprawdy, gdybyś tam pozostał, nauczyłbyś się wkrótce chodzić po wodzie.

— Nie pragnę chodzić po wodzie — odparł Siddhartha. — To sztuczka w sam raz dla starych samanów.

Gautama

W mieście Sawatthi każde dziecko znało imię Wzniosłego Buddy i każdy dom skwapliwie napełniał miseczki uczniów Gautamy, w milczeniu proszących o jałmużnę. Niedaleko miasta znajdowało się ulubione miejsce Buddy, ogród Dżetawana, który

bogaty kupiec Anathapindika, oddany czciciel Wzniosłego, ofiarował w podarunku jemu i jego wyznawcom.

Tam odsyłały wszystkie opowieści i odpowiedzi, jakich udzielano obu młodym ascetom szukającym miejsca pobytu Gautamy. A że byli w Sawatthi, już w pierwszym domu, do którego zastukali po prośbie, dano im jedzenie, zaś gdy się pożywili, Siddhartha zwrócił się do kobiety, która jedzenie przyniosła.

— Chcielibyśmy, szczodra kobieto, dowiedzieć się, gdzie przebywa Najczcigodniejszy Budda, jesteśmy bowiem samanami z lasu i przyszliśmy zobaczyć Doskonałego, oraz usłyszeć naukę z jego ust.

— Zaiste — rzekła kobieta — dobrze trafiliście, samanowie z lasu. Wiedziecie, że Wzniosły przebywa w Dżetawanie, w ogrodzie Anathapindiki. Możecie przenocować w Dżetawanie, pielgrzymi, bo dość tam miejsca dla niezliczonych, co przybywają zewsząd po naukę z jego ust.

Gowinda ucieszył się i wykrzyknął z radością:

— A więc jesteśmy u celu i nasza wędrówka dobiegła kresu! Powiedz nam jeszcze, matko pielgrzymów, czy go znasz, czy znasz Budę, czyś go widziała na własne oczy?

— Widziałam Wzniosłego wiele razy — odparła kobieta. — Widziałam, jak idzie ulicami, w milczeniu, okryty żółtą opończą, widziałam, jak w milczeniu wyciąga u drzwi jałmużną miseczkę, jak odbiera ją napełnioną.

Gowinda słuchał tego z zachwytem i chciał wypytywać jeszcze o wiele rzeczy i wiele usłyszeć. Siddhartha jednak nalegał, by iść dalej. Podziękowali i poszli, i nie potrzebowali nawet rozpytywać o drogę, bo liczni pielgrzymi i mnisi ze wspólnoty Gautamy udawali się do Dżetawana. A że dotarli na miejsce nocą, coraz to ktoś przybywał, słyhać było nawoływania i rozmowy pielgrzymów, którzy domagali się noclegu i byli przyjmowani. Obaj samanowie, nawykli do życia w puszczy, szybko i bez hałasu znaleźli sobie kątek na spoczynek i pozostali tam aż do rana.

O wschodzie słońca ujrzeli ze zdumieniem, jak wielkie mnóstwo ludzi, wyznawców i tych, co chcieli zaspokoić ciekawość, nocowało w ogrodzie. Wszędzie widać było mnichów w żółtych opończach, jak przechadzają się po drózkach, siedzą pod drzewami pogrążeni w kontemplacji albo prowadzą dysputy, cienisty ogród przypominał miasto, gdzie ludzie roili się i uwijali jak pszczoły w ulu. Wielu mnichów udawało się z jałmużnymi miseczkami do miasta użebrać jedzenie na południowy

posiłek, jedyny w ciągu dnia. Sam Budda, sam Oświecony, miał zwyczaj rano wyruszać po prośbie.

Siddhartha zobaczył go i poznał natychmiast, jak gdyby bóg wskazał mu go palcem. Zobaczył zwyczajnego człowieka w żółtym płaszczu, idącego spokojnie z miseczką w ręku.

— Spójrz — wyrzekł cicho do Gowindy — to jest Budda.

Gowinda spojrział uważnie na mnicha w żółtej opończy, który na pozór niczym się nie różnił od setek innych mnichów. I Gowinda też od razu rozpoznał — to on. Poszli i przyglądali mu się.

Budda szedł skromnie, zamyślony, na jego spokojnej twarzy nie widać było smutku ani radości, wydawało się, że w duchu lekko się uśmiecha. Poruszał się z tym wewnętrznym uśmiechem cicho, spokojnie, jak dziecko, któremu nic nie dolega, nosił swój strój i stapał jak wszyscy mnisi, dokładnie podług reguły. Ale twarz i krok, spokojne spojrzenie opuszczonych oczu, zwieszona ręka, a nawet każdy palec tej ręki wyrażał ukojenie, wyrażał doskonałość, niczego nie szukał, ku niczemu się nie zwracał, niczego nie udawał, oddychał łagodnie w nieprzerwanej ciszy, w nieprzerwanym świetle, w niezmaconym spokoju. Gautama szedł więc ku miastu, żebrząc jałmużny, a dwaj samanowie rozpoznali go jedynie po doskonałym spokoju, po wyciszeniu w twarzy, na której nie malowało się żadne dążenie, żadne poszukiwanie, żadne pragnienie, by coś udawać, żaden wysiłek, a jedynie pokój i światłość.

— Dziś usłyszymy jego naukę — rzekł Gowinda.

Siddhartha nie odpowiedział. Nie był bardzo ciekaw tej nauki, nie wierzył, by nauczyła go czegoś nowego, zetknął się już był wszak nieraz z treścią tej nauki, podobnie jak Gowinda, choćby z drugiej albo trzeciej ręki. Ale patrzył uważnie na głowę Guatamy, na jego ramiona, stopy, na spokojnie zwieszoną dłoń i wydawało mu się, że każde zgięcie każdego palca tej dłoni jest nauką, przemawia, tchnie, lśni prawdą. Ten człowiek, ten Budda, był prawdą, aż po gest najmniejszego palca. Ten człowiek był święty. Siddhartha nigdy nie czuł dla nikogo tyle szacunku, nigdy nikogo tak nie pokochał jak tego człowieka.

Szli za Buddą aż do bram miasta i w milczeniu zawrócili, sami bowiem zamierzali tego dnia pościć. Widzieli, jak Guatama wraca, widzieli, jak w kręgu uczniów spożywa posiłek — tym, co jadł, nie pożywiłby się nawet ptaszek — i widzieli, jak wycofuje się w cień drzew mangowych.

Wieczorem, kiedy żar ustąpił, a w obozowisku wszyscy się ożywili i poczęli gromadzić, usłyszeli naukę Buddy. Słyszeli jego głos i głos ten również był doskonały, doskonale opanowany, pełen wewnętrznego spokoju. Gautama nauczał o cierpieniu, o tym, skąd się ono bierze i jak je pokonywać. Cichy głos płynął spokojnie i czysto. Życie było cierpieniem, świat był pełen cierpienia, ale oto możliwe było wybawienie: wybawienie znajdował ten, kto podążał drogą doskonałości.

Wzniosły przemawiał głosem łagodnym, lecz stanowczym, nauczał czterech prawd, nauczał ośmiorakiej ścieżki, cierpliwie podążał zwykłą drogą nauki, przykładów, powtórzeń, jego głos wznosił się jasno i spokojnie nad głowami słuchaczy, jak światło, jak rozgwieżdżone niebo.

Kiedy Budda — zapadła już noc — skończył mówić, niektórzy pielgrzymi podchodzili i prosili o przyjęcie do wspólnoty, szukali ostoji w nauce. Gautama przyjmował ich ze słowami:

— Wysłuchaliście nauki, oto ona. Przyjmijcie ją i idźcie drogą świętości, aby położyć kres wszelkiemu cierpieniu.

Podszedł też Gowinda, nieśmiały Gowinda, i rzekł:

— I ja szukam ostoji we Wzniosłym i jego nauce — i prosił o przyjęcie do grona uczniów i został przyjęty.

Zaraz potem, gdy Budda oddalił się na spoczynek, Gowinda zwrócił się do Siddharthy i rzekł w podnieceniu:

— Siddhartho, nie przystoi mi czynić ci wyrzutów. Obydwaj wysłuchaliśmy Wzniosłego, obaj słyszeliśmy naukę. Gowinda wysłuchał naukę i przystał do niej. A ty, mój umiłowany, czy nie chcesz pójść drogą wybawienia? Ociągasz się, chcesz jeszcze na coś czekać?

Na słowa Gowindy Siddhartha zbudził się jakby ze snu. Długo wpatrywał się w twarz przyjaciela. Potem rzekł cicho, a w jego głosie nie było drwiny:

— Gowindo, przyjacielu, oto uczyniłeś krok, oto wybrałeś swoją drogę. Zawsze byłeś moim przyjacielem, zawsze szedłeś o krok za mną. Często zastanawiałem się, czy Gowinda nie uczyni kiedyś sam kroku, beze mnie, z porywu własnej duszy? Patrz, stałeś się oto mężczyzną i sam wybierasz swoją drogę. Obyś doszedł nią do końca, przyjacielu! Obyś znalazł wybawienie!

Gowinda, nie pojmując jeszcze w pełni, zniecierpliwionym tonem powtórzył swoje pytanie:

— Przemów, błagam cię! Powiedz, że i ty, mój mądry przyjacielu, przystąpisz do nauki wzniosłego Buddy, bo inaczej być nie może!

Siddhartha położył mu rękę na ramieniu.

— Nie dosłyszałeś mego błogosławieństwa, Gowindo. Powtórzę je: obyś doszedł tą drogą do końca. Obyś znalazł wybawienie!

Wtedy Gowinda zrozumiał, że przyjaciel go opuścił, i począł płakać.

— Siddhartho! — wykrzyknął z żalnością.

Siddhartha przemówił przyjaźnie.

— Nie zapominaj, Gowindo, że należysz teraz do samanów Buddy. Wyrzekłeś się ojczyzny i rodziców, wyrzekłeś się pochodzenia i majątku, wyrzekłeś się własnej woli, wyrzekłeś się przyjaźni. Tak chce nauka, tak chce Wzniosły. Ty sam tego chciałeś. Jutro opuszczę cię, Gowindo.

Długo jeszcze przechadzali się po ogrodzie, długo leżeli i nie mogli zasnąć. I Gowinda wciąż od nowa nalegał, by przyjaciel powiedział mu, dlaczego nie przystępuje do nauki Guatamy, jaki błąd w niej widzi. Ale Siddhartha za każdym razem odrzucał nalegania i mówił:

— Ciesz się, Gowindo! Nauka Wzniosłego jest bardzo dobra, jak mógłbym widzieć w niej błędy?

Skoro świt jeden z wyznawców Buddy, jeden z najstarszych mnichów, przechodził ogrodem i wzywał do siebie tych wszystkich, którzy przystali do Buddy, aby założyć im żółtą szatę oraz wprowadzić w podstawy nauki i obowiązki nowego stanu. Gowinda zerwał się, raz jeszcze uściskał przyjaciela młodości i przyłączył się do orszaku nowicjuszy.

Siddhartha zaś krążył zamyślony po ogrodzie.

Krążąc tak napotkał Guatamę i pozdrowił go z całym uszanowaniem, a widząc jego wzrok pełen dobroci i spokoju, zdobył się na odwagę i poprosił, by wolno mu było z nim mówić.

Budda w milczeniu skinął głową.

— Wczoraj, o Wzniosły — rzekł Siddhartha — dane mi było wysłuchać twojej cudownej nauki. Razem z przyjacielem odbyliśmy długą drogę, aby jej wysłuchać. I oto mój przyjaciel chce tu zostać, chce przystać do ciebie. Ja tymczasem wyruszam w dalszą pielgrzymkę.

— Jeżeli taka jest twoja wola — rzekł uprzejmie Czcigodny.

— Moje słowa są zbyt śmiałe — ciągnął Siddhartha — ale nie chciałbym odejść od Wzniosłego, nie wypowiedziawszy szczerze tego, co myślę.

Budda w milczeniu skinął głową.

— Jedno — mówił Siddhartha — jedno nade wszystko w twojej nauce przejmuję mnie podziwem, o Najczcigodniejszy. Wszystko w tej nauce jest doskonale jasne, wszystko dowodne; świat jawi się w niej jako nigdy i w żadnym miejscu nieprzerwany łańcuch, wieczny łańcuch przyczyn i skutków. Nikt nigdy nie zdołał pokazać tego tak jasno, nikt tego nie wyłożył tak nieodparcie; zaiste serce każdego bramina musi zabić mocniej, gdy w świetle twojej nauki ujrzy świat jako doskonale spójną całość, jako przejrzysty kryształ, niezawisły od przypadków, niezawisły od bogów. Czy świat ten jest dobry czy zły, czy życie w tym świecie jest cierpieniem czy radością, o tym nie mówmy, być może, iż to rzecz bez znaczenia — ale jedność świata, związek wydarzeń, jeden strumień, ogarniający rzeczy małe i duże, jedno prawo rządzące narodzinami i śmiercią, to wynika jasno z twojej nauki, o Doskonały. Lecz oto, wedle tego, co nauczasz, ta jedność i spójność wszechrzeczy zostaje w jakimś miejscu rozerwana, przez maleńką szczelinę przedostaje się do tego świata jedności coś obcego, coś nowego, coś, czego przedtem nie było i czego nie można okazać ani dowieść, ani wytłumaczyć: twoja nauka o pokonaniu świata, o wybawieniu. I ta maleńka szczelina, to pęknięcie sprawia, że cała ta wieczna i jednolita zasada zostaje złamana i podważona. Wybacz mi, proszę, że ośmielam się stawiać ci zarzuty.

Gautama słuchał w milczeniu, nieporuszony. Potem dopiero przemówił, z całą dobrocią, głosem uprzejmym i dźwięcznym.

— Wysłuchałeś nauki — rzekł Doskonały — i chwala ci, synu bramina, że tak głęboko ją przemyślałeś. Znalazłeś w niej lukę, znalazłeś błąd w tej nauce. Obyś dalej nad nią rozmyślał. Pozwól się jednak ostrzec, chciwy wiedzy młodzieńcze, przed gąszczem poglądów i przed sporami o słowa. Poglądy nie mają wagi, mogą być piękne albo brzydkie, roztropne albo głupie, każdy może je uznawać albo odrzucać. Ale nauka, którą ode mnie usłyszałeś, nie jest moim poglądem, a jej celem nie jest objaśnienie świata na użytek tych, którzy łakną wiedzy. Jej cel jest inny: jej celem jest wybawienie od cierpień. Taka, nie inna, jest nauka Gautamy.

— Nie chciałem cię rozgniewać, o Wzniosły — rzekł młodzieniec. — Com powiedział, powiedziałem nie po to, by się z tobą spierać, by wieść spór o słowa. Zaiste, masz rację, że poglądy mają małą wagę. Ale pozwól powiedzieć mi jeszcze jedno: ani przez chwilę w ciebie nie zwątpiłem. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że

jestes Budda, zes osiagnal cel, najwyzszy cel, do ktorego dazy wiele tysiecy braminow i mlodziencow. Znalazles wybawienie od smierci. Znalazles je dzieki wlasnym poszukiwaniom, na wlasnej drodze, dzieki rozmyslaniom, kontemplacji, poznaniu, oswieceniu. Nie znalazles go dzieki nauce, to nie nauka dała ci wybawienie! I — taka jest moja mysl, o Wzniosly — nikomu wybawienie nie jest dane przez nauke! Nikomu, o Wzniosly, nie zdołasz przekazać słowami i nauczaniem tego, co się z tobą stało w chwili oświecenia. Nauka Oświeconego Buddy mieści w sobie wiele, uczy żyć dobrze, uczy unikać zła. Ale jednej rzeczy w tej nauce tak jasnej, tak godnej nie ma — nie zawiera się w niej tajemnica tego, co przeżył sam Wzniosly, co dane było przeżyć tylko jemu jednemu spośród setek tysięcy innych. Oto, co sobie pomyślałem i czego dowiedziałem się słuchając twojej nauki. I dlatego wyruszam w dalszą wędrówkę — nie aby szukać innej, lepszej nauki, bo wiem, że takiej nie ma, ale po to, by opuścić nauki i nauczycieli i samemu osiągnąć cel albo umrzeć. Ale często, o Wzniosly, będę wspominał ten dzień i godzinę, kiedy moje oczy ujrzały świętego.

Budda stał spokojnie, z wzrokiem opuszczonym ku ziemi, na jego niezgłębionej twarzy malował się doskonały spokój.

— Obyś nie pobłądził w swoich rozmyślaniach! — rzekł z wolna. — Obyś dotarł do celu! Ale powiedz mi, czy widziałeś grono moich samanów, moich licznych braci, którzy przystali do nauki? I czy uważasz, obcy samano, czy doprawdy uważasz, że oni wszyscy lepiej by uczynili, opuszczając naukę i wracając do świata i uciech?

— Taka myśl jest mi zgoła obca — wykrzyknął Siddhartha. — Niech pozostaną wszyscy przy nauce, niech osiągną swój cel! Nie przystoi mi osądzać życia innych ludzi! Sądzić mogę tylko we własnej sprawie, tylko tu muszę dokonać wyboru, muszę coś odrzucić. Samanowie szukają wybawienia od jaźni. Gdybym tedy został twoim uczniem, o Wzniosly, boję się, że przydarzyłoby się tak, iż moje ja doznałoby tylko pozornego, złudnego tylko wybawienia i ukojenia, naprawdę zaś żyłoby dalej jak przedtem i rosło, gdyż moją jaźnią stałaby się wówczas twoja nauka, moja przynależność do ciebie, moja miłość do ciebie, wspólnota twoich mnichów.

Z lekkim uśmiechem na ustach, z niezmaconą pogodą i życzliwością Gautama spojrział przybyszowi w oczy i pożegnał go ledwo dostrzegalnym gestem.

— Masz bystry rozum, samano — rzekł. — Potrafisz bystrze mówić. Strzeż się zbyt wielkiej bystrości.

Budda odszedł, a w pamięci Siddharthy wyryły się na zawsze jego spojrzenie i lekki uśmiech. Nigdy nie widziałem człowieka, który by się tak uśmiechał, tak patrzył,

tak siedział i stąpał — myślał — i ja chciałbym umieć tak patrzeć i uśmiechać, tak siadać i tak stąpać, z taką swobodą i z taką godnością, tyle w sobie taić i tyle z siebie ujawniać, tak dziecinnie i tak tajemniczo. Taka prawda jest tylko w spojrzeniu i ruchach człowieka, który przeniknął do wnętrza samego siebie. Dobrze więc, tedy i spróbuję przeniknąć do swego wnętrza.

Spotkałem jednego człowieka — myślał Siddhartha — jednego jedyne, przed którym musiałem spuścić oczy. Nigdy już więcej nie chcę spuszczać oczu, przed nikim. Skoro nie pociągnęła mnie nauka tego człowieka, nie pociągnie mnie już żadna inna.

Budda ograbił mnie — myślał Siddhartha — ograbił mnie, a jeszcze więcej mi podarował. Zabrał mi przyjaciela, który we mnie wierzył, a teraz wierzy w niego, przyjaciela, który był moim cieniem, a teraz jest cieniem Gautamy. Ale podarował mi Siddharthę, mnie samego.

Przebudzenie

Kiedy Siddhartha opuścił ogród, w którym pozostał Doskonały Budda i w którym pozostał Gowinda, poczuł, że w tym ogrodzie zostaje także jego dotychczasowe życie i odrywa się od niego. Oddalając się powoli, Siddhartha zastanawiał się nad tym wypełniającym go wrażeniem. Zastanawiał się głęboko, jak gdyby zanurzał się w głęboką wodę, aż do dna tego wrażenia, aż tam, gdzie tkwią przyczyny, bo myślenie polega właśnie, jak mu się zdawało, na dociekaniu przyczyn i jedynie w ten sposób wrażenia stają się wiedzą i nie giną, ale nabierają wagi i poczynają emanować tym, co się w nich zawiera.

Oddalając się powoli, Siddhartha tonął w myślach. Stwierdził oto, że nie jest już młodzieńcem, ale stał się mężczyzną. Stwierdził, że coś go opuściło, jak węża opuszcza stara skóra, że czegoś już w sobie nie znajduje, czegoś, co towarzyszyło mu i należało do niego przez wszystkie lata młodości; pragnienie, by mieć nauczycieli i słuchać nauk. Ostatniego nauczyciela, jaki pojawił się na jego drodze, najznakomitszego i najmędrszego nauczyciela, najświętobliwszego, właśnie był porzucił, z nim także musiał się rozstać, nie mógł przyjąć jego nauki.

W zamyśleniu szedł coraz wolniej i zapytywał samego siebie: "Ale cóż to takiego, czego chciałeś się nauczyć z nauk i od nauczycieli, czego to takiego ci, którzy wszak tylu rzeczy cię nauczyli, nie mogli cię nauczyć?" I odpowiedział sam sobie:

“Chciałem się nauczyć, czym jestem ja i jaki jest jego sens. Chciałem się uwolnić od tego ja, chciałem je pokonać. Ale nie mogłem go pokonać, mogło mi się tylko wydawać, mogłem tylko od niego uciekać, chować się przed nim. Zaiste, nic na świecie nie zaprzętało mojej myśli tak bardzo jak moje własne ja, ta zagadka, że żyję, że jestem osobnym bytem, oddzielnym od wszystkich innych, że jestem Siddhartha. A o niczym na świecie nie wiem tak mało jak o samym sobie”!

Idąc tak z wolna i rozmyślając przystanął, przejęty tą myślą, a z niej wyłoniła się natychmiast inna myśl, nowa, tak brzmiąca: “Jeżeli nic o sobie nie wiem, jeżeli Siddhartha pozostał dla mnie obcy i nieznany, to bierze się to z jednej, jedynej przyczyny: bałem się siebie, uciekałem od siebie! Celem moich poszukiwań był atman, był brahman, zgodziłem się rozłożyć swoje ja na cząstki, zrywać kolejne warstwy, aby odnaleźć to, co kryje się w jego nieznanym wnętrzu, rdzeń, atman, życie, boski pierwiastek, źródło źródeł. Ale w ten sposób utraciłem samego siebie”.

Siddhartha otworzył oczy i rozejrzał się wokół, twarz rozjaśnił mu uśmiech, a całe jego ciało, aż po czubki palców przeniknęło uczucie, że oto budzi się z długiego snu. I zaraz ruszył naprzód, szybko, jak człowiek, który wie, co ma czynić.

Och — myślał, głęboko wciągając powietrze — teraz już Siddhartha już mi się nie wymknie. Nie będę już rozmyślał o atmanie i bólu życia, nie będę tym żył. Nie będę się już uśmiercał i ciął na kawałki, aby wśród nich szukać tajemnicy. Nie będę szukał nauki w jogawedzie ani w Atharwawedzie, ani u ascetów, ani nigdzie indziej. Chcę się uczyć od samego siebie, chcę być uczniem, chcę siebie poznać, poznać tajemnicę Siddharthy.

Rozglądał się wokół, jakby po raz pierwszy zobaczył świat. Świat był piękny, świat był kolorowy, był dziwny i pełen zagadek! Mienił się błękitem, żółcią, zielenią, niebo i rzeka płynęły, las i góra stały w miejscu, wszystko takie piękne, takie zagadkowe, cudowne, a pośród tego wszystkiego stał przebudzony Siddhartha, w drodze do samego siebie. Wszystko to, wszystkie te żółtości i błękity, rzeka i las po raz pierwszy dotarły za pośrednictwem zmysłów do Siddharthy, nie były już omamem, zesłanym przez złego ducha, nie były zasłoną mai, nie były bezsensowną i przypadkową wielkością zjawisk, którą głęboko myślący bramin lekceważy, gardzi bowiem wielkością, a szuka jedni. Błękit był tymczasem błękitem, rzeka rzeką i choć ten błękit i ta rzeka kryły w sobie dla Siddharthy jednię i boskość, to przecież właśnie boskość podług swej natury i sensu miała być tu żółtością, tam błękitem, tu niebem, tam

lasem, a tu Siddhartha. Sens i istota znajdowały się nie gdzieś poza rzeczami, ale w nich, we wszystkim.

Jakiż byłem tępy i głuchy! — myślał spieszenie podążając naprzód. Gdy ktoś czyta pisma, którego sens chce odkryć, nie lekceważy jednak znaków i liter, nie nazywa ich złudzeniem, przypadkiem, nic nie wartą skorupą, ale czyta je, literę po literze, studiuje, kocha. Ja tymczasem, który chciałem czytać w księdze świata i w księdze własnej istoty, gardziłem znakami i literami, z góry umyśliwszy sobie, że tak właśnie trzeba, nazywałem świat zjawisk złudzeniem, własne oczy i język nazywałem przypadkowymi i bezwartościowymi zjawiskami. Nie, to już skończone, naprawdę się obudziłem i dziś dopiero przyszedłem na świat.

Gdy to pomyślał, zatrzymał się jeszcze raz, nagle, jak gdyby ujrzał na drodze przed sobą węża.

Bo nagle uprzytomnił sobie jasno także i to: skoro był naprawdę jak obudzony albo nowonarodzony, musiał od nowa zaczynać życie, całkiem od nowa. Kiedy tego ranka opuszczał ogród Dżetawana, ogród Wzniosłego, już budząc się, już w drodze do siebie, wyobrażał sobie, i wydawało mu się to całkiem naturalne i oczywiste, że oto po latach życia w ascezie wróci do rodzinnych stron, do ojca. Ale teraz dopiero w momencie, gdy się zatrzymał, jakby na widok sunącego drogą węża, nagle zrozumiał coś jeszcze: "Nie jestem już tym, kim byłem, nie jestem już ascetą, nie jestem już kapłanem, nie jestem już braminem. Cóż miałbym robić w domu u ojca? Studiować? Składać ofiary? Uprawiać kontemplacje? Wszystko to już skończone, to już nie leży na mojej drodze".

Siddhartha stał bez ruchu i przez mgnienie oka, przez chwilę potrzebną do nabrania tchu uczuł mróz w sercu, poczuł, że serce drży mu w piersi i kurczy się od wewnętrznego chłodu, jak małe zwierzątko, ptak albo trwożliwy zając, zrozumiał bowiem, jaki jest samotny. Całymi latami żył bez ojczyzny i nie czuł tego. A teraz poczuł. Zawsze, nawet w momentach największej kontemplacji, był synem swego ojca, braminem, należał do wyższego stanu, do stanu kapłanów. Teraz był już tylko Siddhartha, człowiekiem, który zaznał przebudzenia i niczym ponadto. Głęboko zaczerpnął tchu i przez chwilę czuł, jak przenika go chłodny dreszcz. Nikt nie był tak samotny jak on. Człowiek szlachtetnego rodu żyje życiem swego stanu, rzemieślnik znajduje oparcie wśród rzemieślników, dzieli ich życie, mówi ich językiem. Bramin żyje wspólnie z innymi braminami, asceta ma za sobą innych samanów, a nawet najbardziej zagubiony pustelnik w puszczy nie jest sam ani samotny, ma gdzieś swoje

miejsce, należy do jakiegoś stanu, który jest mu ojczyzną. Gowinda został mnichem i tysiące mnichów było mu braćmi, nosiło ubiór taki sam jak on, wierzyło w to, w co on wierzył, mówiło jego językiem. Ale gdzie było miejsce Siddharthy? Czyje życie miał dzielić? Czyim językiem mówić?

W tej chwili, kiedy świat oddalił się od niego, odpłynął gdzieś, on zaś stał samotny jak gwiazda na niebie, w tej chwili chłodu i zwątpienia narodził się Siddhartha bardziej zwarty, skupiony w sobie, bardziej jeszcze będący sobą niż przedtem. Czuł wyraźnie: to był ostatni dreszcz przebudzenia, ostatni skurcz porodowy. I zaraz potem wyruszył w dalszą drogę, począł iść szybko i niecierpliwie, nie do domu, nie do ojca, nie z powrotem.

CZEŚĆ DRUGA

Wilhelmowi Gundertowi, memu kuzynowi w Japonii

Kamala

Siddharta z każdą chwilą uczył się czegoś nowego, bo świat się odmienił, odmienił i oczarował jego serce. Widział, jak słońce wschodzi nad górami i jak zachodzi wśród palm nad dalekim brzegiem morza. W nocy widział porządek gwiazd na niebie i sierp księżyca płynący jak łódka po granatowym przestworze. Widział drzewa, gwiazdy, obłoki, tęczę, skały, zioła, kwiaty, strumień i rzekę, rano na liściach błyszczały krople rosy, góry rysowały się w oddali bladym błękitem, słychać było śpiew ptaków i brzęczenie pszczół, wiatr odwracał srebrzyście ryżowe kłosa. To wszystko, takie rozmaite i kolorowe, było zawsze, zawsze ukazywało się słońce i księżyc, zawsze szumiały rzeki i brzęczały pszczoły, ale dla Siddharthy wszystko to było przedtem jedynie ulotną i ułudną zasłoną, traktowaną nieufnie i zasługującą na to, by ją przeniknąć myślą i unicestwić, ponieważ nie była samą istotą rzeczy, ponieważ istota rzeczy znajdowała się poza światem widzialnym. Teraz jednak wyzwolone spojrzenie kierowało się właśnie w tę stronę, widziało i poznawało to, co widzialne, chciało zadomowić się na tym świecie, nie wybiegało poza jego granice, nie szukało istoty rzeczy. Świat, gdy się go tak oglądało, tak po prostu, tak spokojnie, niczego poza nim nie szukając, oczami dziecka, był piękny. Piękny był księżyc i gwiazdy, piękny był strumień i brzeg strumienia, las i skały, kozy i chrabąszcze, kwiaty i motyle. Pięknie i błogo było iść sobie przez świat jak dziecko, z obudzoną duszą, otwartą na wszystkie te bliskie rzeczy, ufną. Słońce inaczej paliło głowę, leśny cień inaczej chłodził, inaczej smakowała woda w strumieniu i w zbiorniku, inaczej dynie i banany. Dni i noce były krótkie, każda chwila przemykała szybko jak żagiel sunący po morzu i unoszący statek pełen skarbów, pełen radości. Siddhartha widział mały skaczące wysoko po koronach drzew, słyszał dziki, namiętny śpiew. Widział jak baran biegnie za owcą i pokrywa ją. W zarosłym trzciną jeziorze widział, jak szczupak wyrusza na nocne łowy, jak pomykają przed nim łuskając srebrem spłoszone chmary małych rybek, a z potężnych wirów, jakie ciągną się za bezwzględny myśliwcem, bije siła i namiętność.

To wszystko istniało zawsze, a on tego nie widział, nie brał w tym udziału. A teraz wziął w tym udział, przystał do świata. Po oczach przesunęło się światło i cień, przez serce gwiazdy i księżyc.

Tak idąc Siddhartha przypominał sobie wszystko to, co przeżył w ogrodzie Dżetawana, naukę, którą tam usłyszał, boskiego Buddę, pożegnanie z Gowindą, rozmowę ze Wzniosłym. Odtwarzał w pamięci to, co powiedział w trakcie tej rozmowy, słowo po słowie, i ze zdumieniem uświadamiał sobie, że mówił rzeczy, których wtedy wcale jeszcze nie wiedział. Powiedział, że jego, Buddy, skarbem i tajemnicą jest nie nauka, ale to coś, czego nie da się powiedzieć ani nauczyć, a czego Wzniosły doświadczył niegdyś w chwili oświecenia — dziś ku temu właśnie dążył on sam, tego zaczynał doświadczać. Musiał teraz doświadczyć samego siebie. Owszem, wiedział od dawna, że najbardziej wewnętrzną zasadą jego istoty jest atman, mający tę samą wieczną naturę co brahman. Ale nigdy naprawdę nie znalazł tej zasady, bo chciał ją złowić w siatkę myśli. Zasadą tą nie było z pewnością ciało ani gra zmysłów, ani też nie myślenie, nie rozum, wyuczona mądrość czy wyuczona sztuka wnioskowania i snucia nowych myśli z tego, co się myślało wcześniej. Nie, wszak myślenie należało także do tego świata, było po tej stronie, po cóż więc uśmiercać przypadkowe ja zmysłowe, hodować za to równie przypadkowe ja myśli i uczoności? Zarówno myślenie, jak zmysły miały swoją wartość, jedno i drugie kryło w sobie ostateczny sens, jednego i drugiego należało wysłuchać, jednym i drugim grać, ani jednego, ani drugiego nie pomijać i nie przeceniać, u obu źródeł nasłuchiwać głosu najskrytszej tajemnicy. Siddhartha nie chciał dążyć do niczego, do czego nie nakazałby mu dążyć ów głos, na niczym się nie skupiać, prócz tego, co ów głos mu wskaże. Dlaczego Guatama kiedyś, w tej godzinie nad godzinami, usiadł pod drzewem Bo, gdzie doznał oświecenia? Usłyszał głos, we własnym Sercu usłyszał głos, który kazał mu poszukać spoczynku pod tym drzewem, a Gautama nie wybrał zamiast tego umartwień, ofiar, kąpieli i modlitwy, nie oddał się uciechom i marzeniom, tylko usłuchał głosu. Takie właśnie posłuszeństwo, nie naukom przychodzącym z zewnątrz, ale wewnętrznemu głosowi — taka uległość była dobra, była konieczna, cała reszta zaś nie miała żadnego znaczenia.

W nocy, śpiąc w słomianej chacie przewoźnika nad brzegiem rzeki, Siddhartha miał sen: oto stanął przed nim Gowindą, w żółtej opończy ascety. Jego twarz wyrażała smutek i ze smutkiem pytał: "Dlaczego mnie opuściłeś"? Siddhartha objął Gowindę, otoczył go ramionami, a kiedy tulił go do siebie i całował, to nie był już Gowinda, tylko

kobieta, z rozcięcia jej sukni wysunęła się pełna pierś, Siddhartha przywarł do niej i pił. Mleko z tej piersi miało słodki, mocny smak. Smakowało kobietą i mężczyzną, słońcem i lasem, zwierzętami i kwiatami, każdym owocem, każdą rozkoszą. Upajało i odbierało przytomność. Gdy Siddhartha obudził się, przez drzwi chaty majaczyła bladawa poświata rzeki, a z lasu rozbrzmiewało donośnie głucho pohukiwanie sowy.

Rano Siddhartha poprosił gospodarza, by przewiózł go na drugi brzeg. Przewoźnik poprowadził go do bambusowej łodzi, na szeroko rozlanej wodzie kładły się czerwone blaski wschodzącego słońca.

— Jaka to piękna rzeka — odezwał się Siddhartha do swego towarzysza.

— Tak — odparł przewoźnik — bardzo piękna i kocham ją ponad wszystko. Często jej słuchałem, często spoglądałem jej w oczy i zawsze się od niej uczyłem. Od rzeki można się dużo nauczyć.

— Dziękuję ci, mój dobroczyńco — rzekł Siddhartha, wysiadając na drugim brzegu. — Nie mogę dać ci żadnego gościńca, przyjacielu, ani żadnej zapłaty. Jestem bezdomnym braminem i samaną.

— Wiem — rzekł przewoźnik — i nie oczekiwałem też od ciebie żadnej zapłaty ani gościńca. Innym razem mnie obdarujesz.

— Tak myślisz? — rzekł rozbawiony Siddhartha.

— Z pewnością. Tego też nauczyłem się od rzeki — wszystko powraca. I ty, samano, także powrócisz. A teraz życzę ci szczęścia. Niech twoja przyjaźń będzie mi zapłatą. Pamiętaj o mnie przy składaniu ofiar.

Rozstali się z uśmiechem. Siddhartha cieszył się i uśmiechał na myśl o przyjaźni i życzliwości przewoźnika. Podobny jest do Gowindy — myślał, ciągle się uśmiechając — wszyscy, których spotykam po drodze, są jak Gowinda, wszyscy są wdzięczni, choć sami mieliby prawo do wdzięczności, wszyscy są oddani, wszyscy chcą przyjaźni, wszyscy chcą słuchać i mało myśleć. Ludzie są jak dzieci.

W porze obiadu przechodził przez jakąś wieś. Przed lepiankami na gościńcu przewalały się dzieci, bawiły się pestkami dyni i muszelkami, krzyczały i tłukły się, ale wszystkie umykały spłoszone przed obcym samaną. Na końcu wsi droga wiodła przez strumień, nad brzegiem klęczała młoda kobieta i prała odzież. Gdy Siddhartha ją pozdrowił, uniosła głowę i spojrzała ku niemu z uśmiechem, błyskając białkami oczu. Wypowiedział błogosławieństwo, jak podróżnemu przystało, i zapytał, jak daleko stąd do dużego miasta. Kobieta podniosła się z klęczek i podeszła bliżej, wilgotne usta lśniły pięknie w młodej twarzy. Rzuciła parę żartobliwych uwag, pytała, czy jadł już

obiad i czy to prawda, że samanowie spędzają noce samotnie w puszczy i nie mogą mieć kobiet. Postawiła przy tym swoją lewą stopę na jego prawej stopie i uczyniła ruch, jak kobieta, zachęcająca mężczyznę do tego rodzaju pieszczoty, którą podręczniki zowią "wspinaczką na drzewo". Siddhartha poczuł, jak krew się w nim burzy, a że przypomniał mu się sen, jaki miał lej nocy, pochylił się nieco i dotknął wargami brunatnej sutki. Podniósłszy oczy dojrzał, jak jej twarz rozciąga się w pełnym pożądania uśmiechu, a zwięzione oczy patrzą z błagalną tęsknotą.

Siddhartha także czuł tęsknotę, czuł jak budzi się w nim płeć, że jednak nigdy dotąd nie dotknął kobiety, zwlekał chwilę, choć ręce gotowe już były po nią sięgać. I w tej właśnie chwili posłyszał ze zgrozą głos swego wnętrza i ten głos mówił: nie. Uśmiechnięta twarz młodej kobiety utraciła nagle cały swój urok, widział już tylko wilgotne spojrzenie goniącej się samicy. Pogłaskał przyjaźnie jej policzek, odwrócił się i lekkim krokiem usunął się przed oczu rozczarowanej kobiety, niknąc w bambusowym lesie.

Tego dnia pod wieczór doszedł do miasta i cieszył się, bo pilno mu było do ludzi. Tyle czasu żył w puszczy, a noc spędzona w chacie przewoźnika była pierwszą od bardzo dawna nocą pod dachem.

Przed miastem, opodal pięknego ogrodu natknął się na orszak sług obładowanych koszami. Pośród tego orszaku, w zdobnej lektyce niesionej przez czterech drabantów, na czerwonych poduszkach pod kolorowym baldachimem spoczywała kobieta o wyglądzie władczyni. Siddhartha zatrzymał się u wejścia do ogrodu i przypatrywał się pochodowi, widział sługi, służebnice, kosze, lektykę i siedzącą w niej damę. Pod spiętrzonymi wysoko czarnymi włosami zobaczył jasną, delikatną, bystrą twarz, jasnoczerwone wargi jak świeżo rozkrajany owoc figi, wypielegnowane i pomalowane łuki brwi, ciemne oczy patrzące rozumnie i uważnie, wiotką szyję wykwitającą z rozcięcia zielono-żółcistej szaty, złożone na kolanach białe dłonie, wąskie i smukłe, z szerokimi złotymi bransoletami na przegubach. Siddhartha widział, jaka była piękna, i zaśmiał się w duchu. Gdy lektyka była już blisko, pochylił się w głębokim ukłonie, a podnosząc głowę spojrzął prosto w jasną, pogodną twarz, przez chwilę czytał w rozumnych oczach pod wysokimi hakami brwi, wciągał nieznanego sobie zapach. Piękna kobieta z uśmiechem skinęła głową, trwało to mgnienie i już znikła w ogrodzie, a za nią orszak sług.

A więc wchodzę do miasta, pomyślał Siddhartha, pod godnym znakiem. Korciło go, by zaraz wejść do ogrodu, opamiętał się jednak i teraz dopiero uświadomił

sobie, jakim wzrokiem patrzyli na niego słudzy i służebnice — pogardliwie, nieufnie, odpychająco.

Jestem jeszcze ciągle samaną, pomyślał, jestem ascetą i żebrakiem. Wypada mi odmienić postać, tak nie wejść przecież do tego ogrodu. I uśmiechnął się.

Pierwszego napotkanego na drodze przechodnia spytał o ogród i imię tej kobiety, i dowiedział się, że właścicielką ogrodu jest Kamala, słynna kurtyzana, która prócz ogrodu posiada jeszcze dom w mieście.

Potem wszedł do miasta. Miał oto przed sobą cel.

Zdążając do tego celu zanurzył się w mieście, pozwolił się unosić strumieniowi uliczek, przystawał na placach, wypoczywał na kamiennych schodach nad rzeką. Pod wieczór zaznajomił się z pomocnikiem golarza, którego widział w cieniu arkady, a potem spotkał na modlitwie w świątyni Wisznu i opowiedział mu dzieje Wisznu i Lakszmi. Noc spędził koło łodzi nad rzeką, a wcześniej rano, zanim jeszcze zjawili się pierwsi klienci, kazał ogolić sobie brodę, przystrzyc włosy, uczesać je i namaścić olejkami. Potem poszedł wykąpać się w rzece.

Późnym popołudniem Siddhartha stał u wejścia do ogrodu Kamali, a gdy zbliżała się w swojej lektyce skłonił się, kurtyzana zaś odwzajemniła pozdrowienie. Siddhartha odczekał, aż minie go cały orszak, skinął ręką na ostatniego sługę i poprosił, by zameldował pani, że młody bramin pragnie gorąco z nią rozmawiać. Sługa wrócił po chwili, polecił mu iść za sobą, w milczeniu zaprowadził do pawilonu, gdzie na otomanie leżała Kamala, i pozostawił ich samych.

— Czy to nie ty stałeś już wczoraj u bramy i pozdrowiłeś mnie? — spytała Kamala.

— Tak było, widziałem cię już wczoraj i pozdrowiłem cię.

— Ale czy nie miałeś jeszcze wczoraj brody i długich włosów pokrytych kurzem?

— Dobrze patrzyłaś, wszystko widziałaś. Widziałaś Siddharthę z rodu braminów, który opuścił rodzinne strony, aby zostać samaną i przez trzy lata był samaną. Teraz jednak porzuciłem tę drogę i przyszedłem tu, do miasta, a pierwsze, co mnie spotkało, zanim jeszcze wszedłem do miasta, to ty, Kamalo. Przyszedłem, by ci to powiedzieć. Jesteś pierwszą kobietą, do której Siddhartha przemawia nie spuszczając oczu. Nie chcę już nigdy spuszczać oczu na widok pięknej kobiety.

Kamala uśmiechnęła się i bawiąc się wachlarzem z pawich piór zapytała:

— Czy Siddhartha przybył tu tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

— Żeby ci to powiedzieć, i żeby ci podziękować za to, że jesteś taka piękna. I jeżeli cię to nie urazi, Kamalo, chciałbym cię prosić, byś została moją przyjaciółką i nauczycielką, nie znam bowiem wcale sztuki, w której ty jesteś mistrzynią.

Kamala roześmiała się głośno na te słowa.

— Nigdy się to jeszcze nie zdarzyło, przyjacielu, by przyszedł do mnie samana z lasu i chciał się ode mnie uczyć! Nigdy mi się nie zdarzyło widzieć u siebie samany z długimi włosami i w starej, podartej przepasce. Przychodzi do mnie wielu młodzieńców, są wśród nich także synowie braminów, ale przychodzą pięknie odziani, wytwornie obuci, mają pachnidło we włosach i pieniądze w sakiewce. Tak, mój samano, wyglądają młodzieńcy, którzy przychodzą tu w odwiedziny.

— Już zaczynam się od ciebie uczyć — rzekł Siddhartha.

— Wczoraj zresztą też się czegoś nauczyłem. Zgoliłem brodę, przycesałem włosy, natarłem je olejkiem. Niewiele mi już brakuje, świetna pani: wytwornych szat, wytwornego obuwia, pieniędzy w sakiewce. Wiedz, że Siddhartha podejmował się trudniejszych rzeczy niż te drobiazgi, i dopinał swego. Jakże więc nie miałbym dopiąć tego, co sobie wczoraj zamierzyłem: zostać twoim przyjacielem i nauczyć się od ciebie rozkoszy miłości. Znajdziesz we mnie pojętego ucznia, Kamalo, nauczyłem się już *rzeczy* trudniejszych niż to, czego ty masz mnie uczyć. A więc tak: nie zadowala cię Siddhartha takim jaki jest, z olejkiem we włosach, ale bez pięknych strojów, bosi i biedny?

Kamala wykrzyknęła ze śmiechem:

— Nie, drogi przyjacielu, nie zadowala mnie. Musi mieć stroje, piękne stroje, i piękne obuwie, i dużo pieniędzy w sakiewce, i podarunki dla Kamali. Czy zrozumiałeś, samano z lasu? Zapamiętasz to sobie?

— Zapamiętam — zawołał Siddhartha. — Jak mógłbym zapomnieć słowa, które wyszły z takich ust? Twoje usta są jak świeżo rozkrajany owoc figi, Kamalo. Moje usta też są czerwone i świeże, będą pasowały do twoich, zobaczysz. Ale powiedz, piękna Kamalo, nie boisz się ani trochę samany, który przychodzi z lasu, aby nauczyć się miłości?

— Dlaczego miałabym się bać głupiego samany z lasu, który żył wśród szakali i nie wie nic o kobietach?

— Och, samana jest mocny i nie lęka się niczego. Mógłby cię wziąć przemocą, piękna pani. Mógłby cię okraść. Mógłby zrobić ci krzywdę.

— Nie, samano, tego się nie boję. Czy zdarzyło się, by samana albo bramin bał się, że ktoś przyjdzie, skrępuje go i odbierze mu jego uczoność, jego pobożność, jego mądrość? Nie, bo to jest jego wieczna własność, a udziela jej innym tylko tyle, ile zechce, i tylko temu, komu zechce. I tak samo, zupełnie tak samo jest z Kamalą i z uciechami miłości. Usta Kamali są piękne i czerwone, ale spróbuj pocałować je wbrew jej woli, a choć te usta tak szczerze potrafią darzyć słodyczą, nie dostanie ci się ani kropla. Jesteś pojętny, Siddhartho, więc naucz się i tego: miłość można wyżebrać, kupić, dostać w podarunku, znaleźć na ulicy, ale zrabować jej nie można. Fałszywą drogę sobie wymyśliłeś. Nie, szkoda byłoby, gdyby taki piękny chłopiec jak ty miał się do tego źle zabierać.

Siddhartha skłonił się z uśmiechem.

— Byłoby szkoda, Kamalo, masz rację. Byłoby ze wszech miar szkoda. Nie, nie chcę stracić ani kropli słodyczy z twoich ust i nie chcę, byś ty straciła choć kroplę tej słodyczy, którą ja mogę cię obdarzyć. Więc będzie tak, jak rzekłaś. Siddhartha wróci, gdy zdobędzie trzy rzeczy, których mu brak, stroje, obuwie, pieniądze. Ale powiedz, miła Kamalo, możesz mi udzielić jeszcze małej porady?

— Porady? Czemużby nie? Któżby nie chciał udzielać rad biednemu, nieświadomemu samanie, który przybywa prosto od leśnych szakali?

— Poradz mi więc, droga Kamalo, dokąd mam się zwrócić, by jak najszybciej znaleźć owe trzy rzeczy?

—Przyjacielu, niejeden chciałby to wiedzieć. Musisz robić to, czego się nauczyłeś, i w zamian za to dostawać pieniądze, stroje i obuwie. W inny sposób biedak nie zdobędzie pieniędzy. Powiedz, co umiesz robić?

— Umiem myśleć. Umiem czekać. Umiem pościć.

— Nic więcej?

— Nic. Owszem, umiem jeszcze układać wiersze. Czy obdarzysz mnie pocałunkiem w zamian za wiersz?

— Tak, jeśli twój wiersz mi się spodoba. Słucham.

Zastanowiwszy się chwilę, Siddhartha wyrecytował:

Ku ciernistym ogrodom szła Kamala,

U wejścia ogrodu stał śniady samana.

Głęboko, ujrzawszy kwiat lotosu,

Pochylił głowę, uśmiechem podziękowała Kamala.

*Milszą rzeczą, pomyślał młodzieniec, niż bogom składać ofiary,
Milszą rzeczą jest składać ofiary pięknej Kamali.*

Kamala głośno klasnęła w dłonie, aż zadźwięczały złote bransolety.

— Twoje wiersze są piękne, śniady samano, i zaiste, nie stracę, jeśli dam ci w zamian pocałunek.

Nakłoniła go do siebie spojrzeniem. Siddhartha pochylił twarz nad jej twarzą i położył swoje wargi na wargach, które były jak świeżo rozkrajany owoc figi. Kamala całowała go długo, a Siddhartha poczuł z głębokim zdumieniem, jak go uczyła, jaka była mądra, jak nad nim panowała, jak nim powodowała, odpychała go, przyciągała i czuł, że za tym pierwszym pocałunkiem czeka go długi szereg innych, ułożonych w należytej kolejności, dobrze wypróbowanych, a każdy będzie odmienny od pozostałych. Stał oddychając głęboko i był jak dziecko, zdumione ogromem wiedzy i rzeczy godnych nauki, jaki się rozpościerał przed jego oczyma.

— Bardzo piękne są twoje wiersze — zawołała Kamala. — Gdybym była bogata, dałabym ci za nie sztukę złota. Ale trudno ci będzie zarobić wierszami tyle pieniędzy, ile potrzebujesz. Bo trzeba ci dużo pieniędzy, jeśli chcesz zostać przyjacielem Kamali.

— Jak ty potrafisz całować, Kamalo — wyjąkał Siddhartha.

— Tak, potrafię całować i dlatego nie brak mi strojów, bucików, bransolet i innych pięknych rzeczy. Ale co będzie z tobą? Czy potrafisz tylko myśleć, pościć i układać wiersze?

— Znam też pieśni ofiarne — rzekł Siddhartha — ale nie chcę ich już śpiewać. Znam magiczne formuły, ale nie chcę ich już wymawiać. Czytałem pisma...

— Czekaj — przerwała mu Kamala — potrafisz czytać? A pisać?

— Oczywiście, że potrafię. Wielu to potrafi.

— Większość nie potrafi. Ja też nie. To dobrze, że umiesz czytać i pisać, bardzo dobrze. Magiczne zaklęcia też mogą ci się jeszcze przydać.

Wtem nadbiegła służąca i szeptem zakomunikowała pani jakąś wiadomość.

— Mam gościa! — wykrzyknęła Kamala. — Pospiesz się i uciekaj stąd Siddhartho, nikt nie może cię tu widzieć. Jutro zobaczymy się znowu.

Poleciała jeszcze służącej, by pobożnemu braminowi dano białą szatę. Nie wiedzącego, co się z nim dzieje Siddharthę służka poprowadziła okreśną drogą do altany, obdarzyła płaszczem, potem zawiodła w zarośla i tam nakazała, by najspieszniej i niepostrzeżenie wymknął się z ogrodu.

Czynił rad wszystko, czego od niego żądano. Nawykły do życia w lesie przesadził płot i wymknął się bezszelestnie z ogrodu. Rad wracał do miasta, niosąc pod pachą zwinięty płaszcz. Stał przed gospodą, do której kierowali się podróżni, w milczeniu poprosił o jedzenie, w milczeniu przyjął kawałek ryżowego placka. Może już jutro, pomyślał, nie będę musiał nikogo prosić o jedzenie.

Nagle zapłonęła w nim duma. Wszak nie był już samaną, nie przystawało mu już żebrać. Dał placek psu, a sam wstrzymał się od jedzenia.

Tu, w świecie, życie jest proste, myślał. Nie nastęcza żadnych trudności. Póki byłem samaną, wszystko było trudne, mozolne i w końcu beznadziejne. Teraz wszystko jest łatwe, tak łatwe jak nauka pocałunków u Kamali. Potrzeba mi strojów i pieniędzy, to małe cele i bliskie, nie spędzają snu z powiek.

Wywiedział się już, gdzie znajduje się miejska rezydencja Kamali i nazajutrz tam się stawił.

— Wszystko układa się dobrze — zawołała na jego widok.

— Masz udać się do Kamaswamiego, to najbogatszy kupiec w tym mieście. Jeśli mu się spodobaś, przyjmie cię na służbę. Bądź bystry, śniady samano. Postarałam się, żeby usłyszał już o tobie od innych. Bądź dla niego miły. Kamaswami wiele może. Ale nie bądź zbyt skromny! Nie chcę, byś był jego sługą, masz być jemu równy, inaczej nie będę z ciebie zadowolona. Kamaswami zaczyna się starzeć i skłaniać do wygodnego życia. Jeżeli mu się spodobaś, powierzy ci wiele spraw.

Siddhartha podziękował i roześmiał się, a gdy Kamala dowiedziała się, że wczoraj ani dzisiaj nie miał nic w ustach, poleciła przynieść chleba i owoców i ugościła go.

— Miałeś szczęście — rzekła na pożegnanie — jedne drzwi po drugich stają przed tobą otworem. Skąd się to bierze? Czy znasz jakieś czary?

— Opowiedziałem ci wczoraj — rzekł Siddhartha — że umiem myśleć, czekać i pościć, ty jednak uznałaś, że to się na nic nie zda. Otóż zda się, Kamalo, zobaczysz. Zobaczysz, że głupi samanowie uczą się w lesie całkiem pożytecznych rzeczy i potrafią to, czego wy nie potraficie. Przedwczoraj byłem jeszcze niechlujnym żebrakiem, wczoraj Kamala obdarzyła mnie pocałunkiem, wkrótce zaś zostanę kupcem i będę miał pieniądze oraz to wszystko, do czego przywiązujesz wagę.

— Zgoda — przyznała. — Ale co by się z tobą stało, gdyby nie ja? Czym byłbyś, gdyby nie pomoc Kamali?

— Droga Kamalo — rzekł Siddhartha i wyprostował się — gdy zaszedłem do twego ogrodu, zrobiłem pierwszy krok. Moim marzeniem było uczyć się miłości od najpiękniejszej kobiety. Z chwilą gdy powziąłem ten zamiar, wiedziałem też, że dopnę swego. Wiedziałem, że mi pomożesz, wiedziałem to już wtedy, gdy po raz pierwszy na mnie spojrziałaś, tam, u wejścia do ogrodu.

— A gdybym nie zechciała?

— Chciałaś, Kamalo. Popatrz, jeśli rzucisz kamień do wody, kamień idzie najkrótszą drogą na dno. Tak jest, kiedy Siddhartha wytknie sobie jakiś cel. Siddhartha nie robi nic, czeka, myśli, pości, ale zwycięża przeciwności tak jak kamień pokonuje opór wody, samemu nic nie czyniąc, nie wykonując żadnego ruchu; ciągnie go jakaś siła, a on jej ulega. Przyciąga go jakiś cel, bo Siddhartha nie dopuszcza do swojej duszy nic, co by się temu celowi sprzeciwiało. Nauczył się tego u samanów. Głupcy zowią to czarami i sądzą, że dzieje się tak za sprawą demonów. Otóż demony nie mają żadnej władzy, demonów nie ma. Każdy może uprawiać czary, każdy może osiągnąć cel, jeśli potrafi myśleć, czekać, i pościć.

Kamala przysłuchiwała się temu, co mówił. Kochała jego głos, kochała wyraz jego oczu.

— Może — rzekła — może tak jest, jak mówisz, przyjacielu. Ale może jest tak, że Siddhartha jest pięknym mężczyzną, że jego urok podoba się kobietom i dlatego szczęście samo wychodzi mu naprzeciw.

Siddhartha pocałował ją na pożegnanie.

— Niech tak będzie, moja nauczycielko. Niech moje spojrzenie zawsze ci się podoba, niech za twoją sprawą spotyka mnie zawsze szczęście.

Ludzie jak dzieci

Siddhartha udał się do kupca Kamaswamiego, wskazano mu bogaty dom, słudzy poprowadzili go po kosztownych dywanach do sali, gdzie miał zaczekać na pana domu.

Wszedł Kamaswami, energiczny, zwinny mężczyzna o mocno już posiwiałych włosach, bystrym, przezornym wejrzeniu i ustach zdradzających pożądlivość. Gospodarz i gość powitali się przyjaźnie.

— Powiedziano mi — zaczął kupiec — że jesteś braminem, uczonym, ale szukasz służby u kupca. Czy znalazłeś się w biedzie braminie, że szukasz służby?

— Nie — odrzekł Siddhartha — nie znalazłem się w biedzie i nigdy w biedzie nie byłem. Musisz wiedzieć, że przybywam od samanów, wśród których żyłem długi czas.

— Jeśli żyłeś wśród samanów, musisz być w biedzie. Samanowie nie posiadają przecież żadnego majątku.

— To prawda, nie posiadam majątku — rzekł Siddhartha — jeżeli to miałeś na myśli. Z pewnością nic nie posiadam. Ale nie posiadam nic z własnej woli, więc nie jest to bieda.

— Z czego jednak chcesz żyć, skoro nic nie masz?

— Jeszcze o tym nie myślałem, panie. Ponad trzy lata żyłem niczego nie posiadając i nigdy się nie zastanawiałem, z czego przyjdzie mi żyć.

— Więc żyłeś z tego, co posiadali inni.

— Zapewne tak. Wszak również kupiec żyje z cudzego majątku.

— Dobrze powiedziane. Ale kupiec nie bierze cudzych pieniędzy darmo, daje w zamian swój towar.

— W istocie tak chyba jest. Każdy coś bierze, każdy coś daje, takie jest życie.

— Pozwól jednak: co ty możesz dać, skoro nie masz żadnego majątku?

— Każdy daje to, co ma. Wojownik daje swoją siłę, kupiec towar, nauczyciel naukę, chłop ryż, rybak rybę.

— Doskonale. Więc powiedz, cóż takiego ty masz do zaoferowania? Czego się nauczyłeś, co umiesz?

— Umiem myśleć. Umiem czekać. Umiem pościć.

— To wszystko?

— Myślę, że to wszystko!

— A co z tego za pożytek? Cóż ci przyjdzie na przykład z tego, że umiesz pościć?

— To bardzo pożyteczna umiejętność, panie. Jeżeli nie ma się nic do jedzenia, najrozsądniejsze, co można zrobić, to pościć. Gdyby na przykład Siddhartha nie nauczył się pościć, musiałby dziś jeszcze iść na służbę, do ciebie czy gdziekolwiek, bo zmuszałby go do tego głód. Ale tak może spokojnie czekać, nie wie, co to niecierpliwość, nie wie, co to przymusowa sytuacja, głód może próbować na nim swojej siły, a Siddhartha będzie się tylko śmiał. Widzisz więc, panie, ile daje taka umiejętność.

— Masz rację, samano. Poczekaj tu chwilę.

Kamaswani wyszedł i po chwili wrócił niosąc zapisane liście palmowe, które wręczył gościowi:

— Potrafisz to przeczytać?

Siddhartha począł czytać — na liściach spisany był kontrakt kupna.

— Świetnie — rzekł Kamaswami — A czy mógłbyś mi teraz coś napisać?

Podał mu odpowiednio przygotowany liść i rysik. Siddhartha napisał coś i zwrócił kartę. Kamaswami przeczytał: “Dobrze jest pisać, lepiej jest myśleć. Bystry rozum jest dobry, cierpliwość jest lepsza”.

— Umiesz doskonale pisać — pochwalił kupiec. — Będziemy mieli jeszcze niejedno do omówienia. Tymczasem proszę cię, byś został moim gościem i zamieszkał w tym domu.

Siddhartha dziękując przyjął zaproszenie i mieszkał odtąd w domu kupca. Otrzymał ubranie i obuwie, służący codziennie przygotowywał mu kąpiel. Dwa razy dziennie podawano obfity posiłek, Siddhartha jednak jadł tylko raz na dzień, nie spożywał mięsa i nie pił wina. Kamaswami opowiadał mu o swoich interesach, pokazywał towary i magazyny, przedstawiał rachunki. Siddhartha nauczył się wielu nowych rzeczy, dużo słuchał i mało mówił. A mając w pamięci słowa Kamali, nigdy nie podporządkował się kupcowi, lecz zmuszał go, by ten uważał go za równego sobie, a nawet więcej niż równego. Kamaswami zajmował się interesami troskliwie, wręcz namiętnie, Siddhartha jednak traktował to wszystko jako grę, której reguły starał się dokładnie poznać, jej przedmiot jednak nie poruszał jego serca.

Nie minęło jeszcze wiele czasu, odkąd Siddhartha zamieszkał u Kamaswamiego, a zaczął brać już udział w handlowych przedsięwzięciach swego gospodarza. Ale codziennie, w porze, jaką mu wyznaczyła, odwiedzał urodziwą Kamalę, pięknie ubrany, wytwornie obuty, a niebawem zaczął przynosić jej podarki. Wiele nauczyły go jej czerwone, przemyślnie wargi. Wiele nauczyła go jej delikatna, zręczna ręka. Siddhartha w rzeczach miłości był jeszcze dzieckiem gotowym ze ślepym, nienasyconym pragnieniem rzucać się w rozkosz jak w przepaść bez dna, Kamala zaś uczyła go od początku, że rozkoszy nie można brać, nie dając w zamian rozkoszy, że każdy gest, każda pieszczota, każde dotknięcie, każde spojrzenie, każdy najmniejszy nawet skrawek ciała ma swoją tajemnicę, a budzenie tej tajemnicy daje świadomemu kochankowi szczęście. Uczyła go, że kochankom po miłosnym święcie nie wolno się rozstać nie okazawszy sobie nawzajem podziwu, nie uznawszy się na równi za zwycięzców i zwyciężonych, tak iżby żadne nie czuło przesyty ani pustki, ani

nie miało przykrego poczucia, że wykorzystano to drugie lub samo zostało wykorzystane. Siddhartha spędzał przy pięknej i mądrej artystce cudowne godziny, był jej uczniem, kochankiem, przyjacielem. Tu, przy Kamali, a nie wśród interesów Kamaswamiego, znajdował sens i wartość swego obecnego życia.

Kupiec przekazał mu pisanie ważnych listów i kontraktów i przyzwyczyił się omawiać z nim wszystkie ważne sprawy. Spostrzegł wkrótce, że Siddhartha mało zna się na ryżu, wełnie, żegludze i handlu, ale ma za to szczęśliwą rękę, góruje nad nim spokojem i wewnętrzną równowagą, potrafi też lepiej słuchać i przenikać innych ludzi. "Ten bramin — wyraził się do przyjaciela — nie jest prawdziwym kupcem i nigdy nim nie będzie, nigdy nie oddaje się całą duszą interesom. Ale posiada sekret tych ludzi, którym powodzenie wychodzi samo naprzeciw, czy to dlatego, że urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, czy że działa tu jakiś czar, czy może coś, czego nauczył się u samanów. Robi wrażenie, jakby się tylko bawił handlem, interesy nigdy nie zaprzatają go bez reszty, nigdy nie boi się niepowodzenia, nigdy nie martwi się stratą".

— Daj mu — poradził przyjaciel — trzecią część zysku z transakcji, które dla ciebie prowadzi, ale niech ma taki sam udział w stratach, jeśli powstaną straty. Będzie się wtedy gorliwiej starał.

Kamaswami poszedł za tą radą. Siddhartha jednak niewiele sobie z tego robił. Gdy zdarzył się zysk, przyjmował go obojętnie, po stracie śmiał się i mówił: Patrzcie no, nie udało się!

Zdawało się rzeczywiście, że interesy zupełnie go nie obchodzą. Pewnego razu pojechał na wieś zakupić ogromny zbiór ryżu. Gdy jednak przybył na miejsce, okazało się, że ryż sprzedano już innemu kupcowi. Mimo to Siddhartha spędził na wsi kilka dni, podejmował chłopów, dzieciom rozdawał miedziaki, wziął udział w uroczystości weselnej i nader zadowolony wrócił do miasta. Kamaswami czynił mu wyrzuty, że zamiast wrócić, zmarnował czas i pieniądze.

— Daj temu spokój, przyjacielu! — odrzekł Siddhartha. — Łajanie do niczego nie prowadzi. Jeżeli powstały straty, wezmę je na siebie. Jestem z tej podróży bardzo zadowolony. Poznałem mnóstwo ludzi, zaprzyjaźniłem się z pewnym braminem, dzieci bawiły mi się na kolanach, chłopcy pokazywali mi swoje pola, nikt nie traktował mnie jak kupca.

— Bardzo to pięknie — rzekł kwaśno Kamaswami — ale zdaje się, że w końcu jesteś kupcem. Nie jeździłeś tam dla przyjemności.

— Ależ owszem! — zaśmiał się Siddhartha. — Właśnie dla przyjemności. Po cóż by innego? Poznałem ludzi i okolicę, spotkałem się z życzliwością i zaufaniem, znalazłem przyjaciół. Popatrz, mój drogi, gdybym był Kamaswanim, to przekonawszy się, że z transakcji nic nie będzie, wróciłbym zagniewany co rychlej do domu i naprawdę straciłbym tylko czas i pieniądze. Ja tymczasem spędziłem miło czas, czegoś się nauczyłem, zaznałem radości, ani sobie, ani nikomu innemu nie wyrządziłem krzywdy złością i zniecierpliwieniem. A jeśli kiedyś wybiorę się tam jeszcze raz, zakupić późniejsze zbiory czy w jakimś innym celu, znajdę życzliwych ludzi, którzy przyjmą mnie życzliwie i radośnie i będę sobie chwalił, że poprzednio nie okazał pośpiechu ani rozdrażnienia. Daj więc spokój, przyjacielu, nie rób sobie krzywdy połajankami. Jeżeli pewnego dnia spostrzeżesz, że ten Siddhartha nie przynosi ci nic prócz strat, powiedz tylko słowo, a Siddhartha odejdzie swoją drogą. Ale dopóki do tego nie dojdzie, żyjmy w pokoju i zgodzie.

Daremnie też upierał się Kamaswami, że Siddhartha jest na jego, Kamaswamię chlebie. Siddhartha jadł swój własny chleb, a raczej obydwaj jedli cudzy chleb, chleb należący do wszystkich. Siddhartha nigdy nie przejmował się troskami Kamaswamię. Kamaswami zaś w istocie ciągle się czymś troskał. Jeżeli puszczał w ruch interes, któremu groziło niepowodzenie, wydawało się, że wysłane towary przepadły, że dłużnik się nie wypłaci, Kamaswami nie potrafił nigdy przekonać swego współpracownika, że warto z tego powodu biadać i wyrzekać, marszczyć czoło albo spędzać bezsenne noce. Gdy Kamaswami pewnego razu wytknął, iż Siddhartha od niego nauczył się wszystkich swoich umiejętności, ten odrzekł:

— Raczysz sobie chyba żartować. Nauczyłem się od ciebie, ile kosztuje kosz ryb i jakiego procentu można zażądać od pożyczonych pieniędzy. Taka jest twoja wiedza. Myślenia się od ciebie nie nauczyłem, drogi mój Kamaswami, lepiej ty spróbuj się nauczyć tego ode mnie.

W istocie nie przyłgnął sercem do handlu. Interesy uznawał o tyle, że przynosiły pieniądze, których potrzebował dla Kamali, a przynosiły daleko więcej niż potrzebował. Poza tym cała uwaga i ciekawość Siddharthy zwracały się ku ludziom, których zajęcia, prace, troski, zabawy i głupstwa były mu dawniej tak obce i odległe jak tarcza księżycy. A choć łatwo przychodziło mu ze wszystkimi rozmawiać, ze wszystkimi współżyć, od wszystkich się uczyć, to zarazem zdawał sobie sprawę, że coś go przecież od nich dzieli — jego natura samany. Ludzie, których widział wokół siebie, żyli życiem dzieci albo zwierząt — kochał ich za to, ale jednocześnie nimi gardził.

Widział, ile sobie zadają trudu, jak cierpią i zamartwiają się z powodu rzeczy doprawdy nie wartych tej ceny, dla pieniędzy, dla błahych przyjemności, dla błahych zaszczytów, widział, jak jedni na drugich wymyślają i rzucają obelgi, widział, jak się skarżą na dolegliwości, które u samany budzą co najwyżej uśmiech, i cierpią z powodu wyrzeczeń, jakich samana nie odczuwa.

Był otwarty na wszystko, z czym się do niego zwracali. Cieszył się do kupca, który oferował mu płótno na sprzedaż, do dłużnika, który szukał pożyczki, do żebraka, który dobrą godzinę opowiadał mu dzieje swej nędzy, a nie był ani w połowie tak ubogi jak każdy z samanów. Bogatych cudzoziemskich kupców traktował tak samo jak sługę, który go golił, i jak ulicznego sprzedawcę, któremu dał się przy kupnie bananów oszukać na drobną sumę. Gdy przychodził doń Kamaswami uskarżać się na swoje troski albo robić mu wymówki z powodu jakiegoś posunięcia, słuchał z zaciekawieniem i pogodnie, dziwił mu się, starał się go zrozumieć, przyznawał mu trochę racji, akurat tyle, ile wydawało mu się niezbędne, i odwracał się od niego ku następnemu, który go potrzebował. A przychodziło do niego wielu ludzi, wielu po to, by z nim handlować, wielu po to, by go oszukać, wielu po to, by go wysłuchać, wielu, by wzbudzić w nim współczucie, wielu, by zasięgnąć jego rady. Radził, współczuł, obdarowywał, dawał się trochę oszukiwać, a cała ta gra i namiętność, z jaką wszyscy ją uprawiali, zajmowała jego myśli tak samo jak dawniej bogowie i brahman.

Głęboko w piersi czuł niekiedy zamierający, cichy głos, który cicho upominał, cicho się skarżył, ledwo już tylko słyszalny. Wówczas na chwilę uświadamiał sobie, iż wie, gdzie jest to jakieś dziwne życie, iż to, co robi, jest tylko cczą zabawą, prawdziwe życie zaś przepływa mimo niego i nie tyka go. Jak piłkarz zabawia się piłką, tak on bawi się interesami, ludźmi ze swego otoczenia, przygląda im się, znajduje w nich upodobanie, ale sercem do nich nie przystaje, źródło jego istoty bije gdzie indziej. Źródło to było jak gdyby daleko od niego, było wciąż i wciąż niewidocznie, lecz nie miało nic wspólnego z jego życiem. I niekiedy lękał się takich myśli i życzył sobie, iżby jemu także dane było uczestniczyć namiętnie i całym sercem w dziecinnych poczynaniach powszedniego życia, żyć naprawdę, naprawdę coś robić, naprawdę żyć i używać, a nie tylko stać z boku i przyglądać się.

Ale ciągle powracał do pięknej Kamali, uczył się sztuki miłosnej, uprawiał kult rozkoszy, w którym bardziej niż gdziekolwiek dawanie i branie staje się jednym, gawędził z nią, uczył się od niej, udzielał jej rad, przyjmował rady. Rozumiała go lepiej niż kiedyś Gowinda, była do niego bardziej podobna.

Pewnego razu powiedział jej:

— Jesteś taka jak ja, jesteś inna niż większość ludzi. Jesteś Kamalą, niczym innym, masz w sobie jakiś spokój i pewność, do których zawsze możesz się uciec i w samej sobie znaleźć oparcie, tak jak ja. Niewielu ludzi ma w sobie coś takiego, a przecież wszyscy mogliby to mieć.

— Nie wszyscy ludzie mają rozum — rzekła Kamala.

— Nie — odparł Siddhartha — to nie na tym polega. Kamaswami jest równie bystry jak ja, a jednak nie znajduje oparcia w samym sobie. Inni zaś znajdują je, choć rozumu mają tyle co dziecko. Przeważnie ludzie są jak liść, co leci z wiatrem to tu, to tam, kręci się i wiruje, aż spadnie na ziemię. Inni zaś, nieliczni, są jak gwiazdy, które poruszają się stałym torem, nie dosięgnie ich żaden wiatr, w samych sobie znajdują prawo i drogę. Pośród wszystkich uczonych i samanów, a znałem ich wielu, jeden tylko należał do tego rodzaju, tylko jeden osiągnął doskonałość, nigdy go nie zapomnę. To Gautama, Wzniosły, głosiciel owej nauki. Tysiące mnichów słucha co dzień jego nauk, na każdym kroku przestrzega jego reguły, ale wszyscy są jak liście na wietrze, nie niosą w sobie nauki ani prawa.

Kamala spojrzała nań z uśmiechem.

— Znowu o nim mówisz — rzekła — znowu myślisz jak samana.

Siddhartha zamilkł i rozpoczęli miłosną grę, jedną z trzydziestu czy czterdziestu różnych gier, jakie Kamalą znała. Jej ciało prężyło się jak ciało jaguara i jak łuk myśliwego, kto się od niej uczył miłości, poznał wiele rozkoszy, wiele tajemnic. Długo prowadziła tę grę z Siddharthą, przyciągała go, odtrącała, niewoliła, oplatała w uścisku, cieszyła się jego mistrzostwem, aż wreszcie zwyciężony i wyczerpany legł u jej boku.

Hetera pochyliła się nad nim, długo patrzyła w jego twarz, w zamglone znużeniem oczy.

— Jesteś najlepszym kochankiem — rzekła z namysłem — jakiego kiedykolwiek miałam. Jesteś silniejszy od innych, bardziej gibki, chętniejszy. Dobrze przyswoiłeś sobie mój kunszt, Siddhartho. Kiedyś, gdy będę starsza, chciałabym mieć z tobą dziecko. A jednak, miły mój, pozostałeś samaną, a jednak mnie nie kochasz, nie kochasz nikogo. Powiedz, czy jest tak, jak mówię?

— Może tak jest — odrzekł zmęczonym głosem Siddhartha. — Jestem taki jak ty. Ty także nie kochasz — czy mogłabyś inaczej uprawiać miłość jako kunszt? Może

ludzie tacy jak my nie mogą kochać. Ci, którzy są jak dzieci, umieją kochać; na tym polega ich sekret.

Sansara

Siddhartha długo żył życiem światowym pełnym uciech, choć do niego nie przystawał. Jego zmysły, uśmiercone w żarliwych latach samańskich, znowu się obudziły, zakosztował bogactw, zakosztował rozkoszy i władzy; w sercu długo przecież pozostał samaną i tu bystra Kamala miała rację. Jego życiem powodowała wciąż jeszcze umiejętność myślenia, czekania, postu; ludzie należący do świata, ci ludzie jak dzieci wciąż byli dla niego obcy, tak jak on dla nich.

Lata mijają, Siddhartha w atmosferze powodzenia ledwo postrzegał ich wpływ. Stał się bogaty, od dawna posiadał już własny dom, sługi oraz podmiejski ogród nad rzeką. Ludzie lubili go, przychodzili do niego, gdy potrzebowali pieniędzy lub rady, ale oprócz Kamali nikt nie był mu bliski.

Ów podniosły, jasny stan rozbudzenia, jaki kiedyś przeżył, u szczytu swej młodości, w dniach po kazaniu Buddy, po rozłące z Gowindą, owo napięte oczekiwanie, dumna samotność bez nauk i nauczycieli, owa skwapliwa gotowość słuchania boskiego głosu we własnym sercu, wszystko to stało się stopniowo wspomnieniem, należało już do przeszłości; daleko i cicho szemrało źródło, kiedyś tak bliskie, kiedyś bijące w nim samym. Owszem, zachował wiele z tego, czego nauczył się był od samanów, od Gautamy, od swojego ojca bramina — życie wstrzemięźliwe, radość znajdowaną w myśleniu, godziny medytacji, tajemną wiedzę o własnej, najbarziej wewnętrznej istocie, o wiecznej jaźni, która nie jest ciałem ani świadomością. Coś z tego w nim pozostało, ale powoli jedno po drugim zanikało, gubiło się, pokrywało kurzem. Jak garncarskie koło raz puszczone w ruch długo się jeszcze obraca i powoli dopiero ustaje i nieruchomieje, tak w duszy Siddharthy długo jeszcze obracało się koło ascety, koło myślenia, koło rozróżniania, obracało się jeszcze ciągle, ale już coraz wolniej, z ociąganiem, bliskie znieruchomienia. Powoli, jak wilgoć przenika do tkanki obumierającego drzewa, wypełnia ją i trawi, świat i gnuśność przenikały do duszy Siddharthy, z wolna wypełniały ją ociężałością i znużeniem, usypiały. Za to jego zmysły ożyły, wiele się nauczyły, zdobyły wiele doświadczeń.

Siddhartha nauczył się prowadzić interesy, sprawować władzę nad ludźmi, znajdować rozkosz z kobietą, nosić piękne stroje, rozkazywać sługom, kąpać się w

pachnącej wodzie. Nauczył się jadać troskliwie i starannie przyrządzone potrawy, ryby, mięso, ptactwo, przyprawy i słodczyce oraz pić wino, które odpręża i sprowadza zapomnienie. Nauczył się grać w kości i w szachy, przypatrywać się tancerkom, poruszać się w lektyce, sypiać na miękkim łożu. Ale ciągle jeszcze różnił się od innych, i czuł się od nich wyższy, ciągle przyglądał im się trochę drwiąco, z nieco drwiącą pogardą, jaką odczuwa samana wobec ludzi świeckich. Gdy Kamaswami wpadał w rozdrażnienie, gdy się złościł, gdy czuł się urażony, gdy dręczyły go kłopoty kupieckiego rzemiosła, Siddhartha przypatrywał się temu z drwiącą miną. Z wolna tylko i niepostrzeżenie, wraz z przemijającymi porami zbiorów i porami deszczowymi drwina nużyła się, uczucie wyższości przygasało. Z wolna, pośród rosnących bogactw, Siddhartha przejmował coś niecoś z charakteru otaczających go ludzi, coś z ich dziecinności i strachliwości. A jednak zazdrościł im, zazdrościł tym bardziej, im bardziej się do nich upodabniał. Zazdrościł im tej jednej jedynej rzeczy, której jemu brakowało, a którą oni posiadali: wagi, jaką przywiązywali do swego życia, namiętności, z jaką oddawali się radościom i obawom, trwożliwego ale słodkiego szczęścia, jakie czerpali ze stanu wiecznego zakochania. Ci ludzie byli wiecznie zakochani, w samych sobie, w swoich kobietach i dzieciach, w honorze albo w pieniądzech, w swoich planach i nadziejach. On zaś tego się od nich nie nauczył, akurat tego nie, tej dziecinnej radości i dziecinnej głupoty: uczył się od nich tylko przykrych rzeczy, którymi sam gardził. Coraz częściej zdarzało mu się, że rano, spędziwszy wieczór na towarzyskich rozrywkach, długo leżał w łóżku i czuł tępe znużenie. Zdarzało się, że irytował się i niecierpliwił, gdy Kamaswami nudził go swoimi kłopotami. Zdarzało się, że po przegranej w kości wybuchał zbyt głośnym śmiechem. Jego twarz ciągle jeszcze nosiła więcej znamion rozumu i uduchowienia niż twarze innych, ale śmiała się rzadko i przybierała stopniowo owe charakterystyczne rysy, jakie często dostrzec można w twarzach ludzi bogatych, rysy niezadowolenia, drażliwości, złego humoru, lenistwa, przykrego usposobienia. Z wolna chwytała go duchowa choroba bogaczy.

Znużenie oplatało go jak woal, jak delikatna mgła, wolno, z każdym dniem gęstsza, z każdym miesiącem mniej przejrzysta, z każdym rokiem cięższa. Jak nowy ubiór z czasem starzeje się, z czasem traci kolor, plami się, marszczy, strzępi u skrajów i tu i ówdzie ukazuje przetarte miejsca, tak zestarzało się nowe życie Siddharthy, to, które rozpoczął po rozstaniu z Gowindą, z biegiem lat utraciło barwę i blask, uzbierało się na nim plam i zmarszczek, a ukryte pod spodem, tu i ówdzie

przezierając już brzydko na wierzch, czekały rozczarowanie i wstręt. Siddhartha nie zauważał tego. Zauważał tylko, że ów jasny i pewny głos wewnętrzny, który kiedyś się w nim obudził i kierował nim w najlepszym okresie jego życia, teraz umilkł.

Świat schwytał go w swoje sidła, spętały go uciechy, żądze, rozleniwienie, a wreszcie i ta przywara, którą zawsze jako najgłupszą najbardziej miał w pogardzie i wyszydział: rżadza posiadania. Spętały go na koniec własność, posiadanie, bogactwo, przestały być igraszką i błahostkami, stały się łańcuchem i ciężarem. Siddhartha dał się wciągnąć w tę ostateczną i najwstrętniejszą zależność w szczególny sposób, podstępnie — przez grę w kości. Odkąd mianowicie w sercu przestał być samana, Siddhartha rozpoczął grę o pieniądze i kosztowności, którą przedtem przyjmował był z uśmiechem i niedbale jako dziecinny obyczaj dziecinnych ludzi, uprawiać z rosnącą zajadłością i pasją. Jako gracz budził trwogę, niewielu tylko odważyło się z nim próbować, takie wysokie i śmiałe ustalał stawki. Do gry popychało go upadłe serce, przegrywanie i trwonienie podłych pieniędzy sprawiało mu grzeszną radość, wyraźniej i bardziej szyderczo nie mógł już okazać swojej pogardy dla kupieckiego bożka bogactwa. Grał wysoko i bezwzględnie, nienawidząc samego siebie, z samego siebie szydząc, zgarniał tysiące, wyrzucał tysiące, przegrywał pieniądze, przegrywał klejnoty, przegrywał wiejską posiadłość, wygrywał znowu, znowu przegrywał. Lubił ten strach, okropny i zapierający dech strach, jaki odczuwał przy grze, drżąc o wysoką stawkę — lubił i starał się go wciąż na nowo w sobie wzniecać, wciąż potęgować, wciąż pobudzać, bo tylko to uczucie dawało mu jeszcze coś na kształt szczęścia, coś jak odurzenie, coś jak wzmożone życie pośród sytego, mdłego i letniego życia, jakie prowadził. I po każdej większej przegranej przemyślał o nowych bogactwach, pilniej zabierał się do interesów, surowiej ścigał należności od dłużników, bo chciał grać dalej, dalej trwonąć pieniądze, dalej pokazywać, jak bardzo gardzi bogactwem. Nie był już obojętny na straty, opuściła go cierpliwość wobec opieszalnych dłużników, dobroć dla żebraków, skwapliwość, z jaką kiedyś darowywał i pożyczał pieniądze tym, którzy o nie prosili. Ten Siddhartha, który potrafił jednym rzutem kości przegrać dziesiątki tysięcy i śmiać się z tego, stał się dokładniejszy i bardziej drobiazgowy w interesach, a nocą niekiedy śniły mu się pieniądze! I ilekroć zbudził się z tego brzydkiego urzeczenia, ilekroć oglądał w lustrze na ścianie sypialni swoją postarzałą i zbrzydłą twarz, ilekroć opadał go wstyd i odraza, uciekał dalej, uciekał w nowy hazard, w odurzenie rozpusty i pijaństwa, a stamtąd znowu w popęd

gromadzenia i ściągania zysków. Krążył w tym bezsensownym kołowrocie, aż się zmęczył, zestarzał, począł zapadać na zdrowiu.

Któregoś dnia otrzymał we śnie przestrożę. Wieczorem był u Kamali, w pięknym ogrodzie rozkoszy. Siedzieli rozmawiając pod drzewami. Kamala była zamyślona, z jej słów przebijał smutek i zmęczenie. Domagała się opowieści o Gautamie, chciała o nim wciąż słuchać, jak czyste miał spojrzenie, jak łagodny i piękny wyraz ust, jak dobrotliwy uśmiech, jak pełen spokoju chód. Długo musiał jej opowiadać o wzniosłym Buddzie, na koniec zaś Kamala westchnęła i rzekła:

— Kiedyś, może już niedługo, ja też przyłączę się do Buddy. Podaruję mu swój ogród i przyjmę jego naukę.

Potem pociągnęła go ku sobie i z bolesnym żarem uwięziła w miłosnym uścisku, wśród ukąszeń i łez, jak gdyby chciała raz jeszcze z tej próżnej, ulotnej rozkoszy wycisnąć do ostatka krople słodczy. Siddhartha nigdy sobie nie uświadomił tak jasno, jak blisko rozkosz spokrewniona jest ze śmiercią. Leżał potem u jej boku, widział tuż obok siebie twarz Kamali, i z lękiem odczytywał w tej twarzy, pod oczami, w kącikach ust, tak wyraźnie jak nigdy, pismo delikatnych linii i lekkich bruzd, pismo, które przypominało o jesieni i o starości, a wszak i Siddhartha, ledwo przekroczywszy czterdziestkę, dostrzegał już w swoich czarnych włosach tu i ówdzie siwe nitki. Na pięknej twarzy Kamali wypisane było zmęczenie, zmęczenie i pierwsze oznaki wędnięcia, utajone, jeszcze nie wypowiedziane, może nawet nie uświadomione lęki: strach przed starością, strach przed jesiennym uwiędnięciem, strach przed nieuchronnością śmierci. Pożegnał ją z westchnieniem, z uczuciem przygnębienia i obawą w sercu.

Noc spędził w towarzystwie tancerek przy winie, wobec ludzi równego stanu udawał wyższość, choć w niczym już wyższy nad nich nie był, pił dużo wina i późno po północy odszedł na spoczynek, zmęczony, a zarazem rozdrażniony, bliski łez i rozpacz, z poczuciem nieszczęścia, którego nie czuł się już na siłach dłużej znosić, z poczuciem wstrętu, który przepelniał go jak mdły, obrzydły smak wina, jak przesłodzone i czcze dźwięki muzyki, nazbyt miękki uśmiech tancerek, nazbyt słodki zapach ich włosów i piersi. Ale bardziej jeszcze czuł odrazę do samego siebie, do swoich włosów natartych pachnidłem, do odoru wina z własnych ust, do przykłej zwiotczałości własnej skóry. Jak ktoś, kto zbyt wiele zjadł lub wypił, wymiotuje w udręce, a jednak cieszy się, bo wymioty przynoszą mu ulgę, tak Siddhartha nie mogąc zasnąć, pragnął w przyływie nieprzewycięzonego wstrętu pozbyć się wszystkich tych

uciech, tych nawyków, całego tego niedorzecznego życia i samego siebie. Zasnął dopiero o świcie, gdy na ulicy przed domem budziły się już odgłosy dziennej krzątania, na krótką chwilę znalazł częściowe odurzenie, niepełny wypoczynek. I wtedy nawiedził go sen.

Kamala trzymała w złotej klatce śpiewającego ptaka rzadkiego gatunku. Ten ptak mu się teraz przyśnił. Sen był taki: ptaszek, który zawsze rano wyśpiewywał, nie wydawał głosu, a gdy Siddhartha, zauważywszy to, podszedł do klatki, ujrzał, że ptak leży martwy i sztywno wyciągnięty na podłodze. Wziął go, przez chwilę ważył w dłoni, a potem wyrzucił precz, na ulicę, i w tym samym momencie przeraził się okropnie, poczuł ból w sercu, jak gdyby wraz z tym martwym ptaszkiem odrzucił precz wszelką wartość i wszelkie dobro.

Zerwawszy się ze snu czuł w sobie głęboki smutek. Wiódł oto życie bezwartościowe i pozbawione sensu; w rękach nie zostało mu nic żywego, nic cennego, nic, co warto było zachować. Stał odarty ze wszystkiego i samotny, jak rozbitek, którego fale wyrzuciły na brzeg.

W posepnym nastroju udał się do ogrodu, zaryglował furtkę, usiadł pod drzewem mangowym, czuł śmierć w sercu i zgrozę w piersi, siedział i czuł, jak coś w nim umiera, więdnie, gaśnie. Powoli zebrał myśli i w duchu przeżył jeszcze raz całą drogę swego życia, od pierwszych dni, które mógł sobie przypomnieć. Kiedy właściwie przeżywał szczęście, kiedy zaznawał prawdziwej błogości? Och tak, zdarzało mu się to wiele razy. Zdarzało się to w latach chłopięcych, gdy słyszał pochwały z ust braminów, gdy pozostawiając daleko w tyle rówieśników wyróżniał się w przepowiadaniu świętych wersów, w dyspucie z uczonymi, jako pomocnik przy składaniu ofiar. Wtedy czuł w sercu: "Oto twoja droga, do której zostałeś powołany, na ciebie czekają bogowie". I znowu jako młodzieniec, gdy wciąż wyżej wznoszący się cel wszelkich rozmyślań przyciągał go ku sobie i wyrwał spośród gromady równych mu adeptów, gdy w bólach dociekał, czym jest brahman, gdy zdobyta wiedza budziła wciąż nowe pragnienia, wtedy, pośród tego pragnienia, pośród bólu czuł znowu: "Dalej, dalej! Zostałeś powołany!". Słyszał ten głos, gdy opuścił rodzinne strony i wybrał życie samany i wtedy, gdy rzucił samanów i poszedł do Doskonałego i kiedy zaraz jego także porzucił i wyruszył w niewiadome. Teraz od dawna nie słyszał tego głosu, od dawna nie wznosił się ku szczytom, jakże płaska i pusta była jego droga, tyle długich lat strwonił bez wyższego celu, bez dążeń, bez wzniosłości, zadowolając się mizernymi uciechami, a przecież nigdy nie zaznając zaspokojenia! Przez wszystkie te lata, sam

sobie nie zdając z tego sprawy tęsknił i robił, co mógł, by stać się człowiekiem, jak większość innych, jak wszystkie te dzieci, i przy tym jego życie było daleko nędzniejsze i nieszczęśliwsze niż ich, bo nie mógł uznawać za swoje ich celów, ani ich trosk, cały ten świat ludzi w rodzaju Kamaswamiego był dla niego tylko zabawą, tańcem, któremu się przypatrywał — komedią. Jedyne Kamala była mu miła, jedynie ona miała dla niego jakąś wartość — ale czy nadal tak było? Czy jeszcze jej potrzebował, czy raczej ona jego potrzebowała? Czy gra, którą uprawiali, nie była grą bez końca? Czy koniecznie trzeba było dla tego żyć? Nie, wcale nie trzeba! Ta gra nazywała się sansara, była zabawą dobrą dla dzieci, można się było w to bawić raz, drugi, dziesiąty — ale zawsze, wciąż i wciąż od nowa?

Siddhartha pojął, że gra się skończyła, że nie potrafi już się dłużej w to bawić. Ciało wstrząsnął mu dreszcz, czuł, że coś w nim umarło.

Cały dzień spędził pod drzewem mangowym, wspominając ojca, wspominając Gowinę, wspominając Gautamę. Czy po to ich porzucił, żeby zostać drugim Kamaswamim? Siedział tak, aż zapadła noc. Widząc w górze nad sobą gwiazdy pomyślał: "Siedzę tu oto pod własnym drzewem, we własnym ogrodzie". Uśmiechnął się lekko — czy tak miało być, czy tak było słusznie, czy nie było niedorzecznością, że posiadał to drzewo, że był właścicielem ogrodu?

I z tym już skończył, i to w nim umarło. Podniósł się, pożegnał z drzewem, pożegnał się z ogrodem. Jako że cały dzień nic nie jadł, czuł wielki głód i pomyślał o swoim domu w mieście, o swojej komnacie i posłaniu, o zastawionym stole. Uśmiechnął się ze znużeniem, wstrząsnął się i pożegnał z tym wszystkim.

W tej nocnej godzinie Siddhartha opuścił swój ogród, opuścił miasto i nigdy nie powrócił. Kamaswami długo kazał go szukać, myślał, że Siddhartha wpadł w ręce zbójców. Kamala nie zarządziła poszukiwań. Kiedy dowiedziała się, że Siddhartha zniknął, nie zdziwiła się. Czy nie spodziewała się tego zawsze? Czy Siddhartha nie był samaną, bezdomnym pielgrzymem? A najlepiej czuła to ostatnim razem, kiedy byli ze sobą, i przy całym bólu straty cieszyła się, że raz jeszcze przytuliła go tak mocno do swego serca, że raz jeszcze mogła oddać mu się tak do końca i raz jeszcze czuć, jak bierze ją i przenika.

Gdy dostała pierwszą wiadomość o zniknięciu Siddharthy, podeszła do okna, gdzie w złotej klatce trzymała śpiewającego ptaszka. Otworzyła drzwiczki klatki, wyjęła ptaka i wypuściła go na wolność. Długo śledziła wzrokiem jego lot. Od tego dnia

zaprzestała przyjmować gości i zamknęła dom. Po jakimś czasie zaś przekonała się, że kiedy była z Siddharthą ten ostatni raz, zaszła w ciążę.

Nad rzeką

Siddhartha wędrował przez las, był już daleko od miasta i wiedział tylko, że nie może zawrócić, że to życie, które prowadził przez tyle lat, skończyło się, przeminęło, że zakosztował go aż do obrzydzenia. Śpiewający ptak, którego widział we śnie, był martwy. Ptak w jego sercu był martwy. Uwikłał się głęboko w sansarę, zewsząd wchłaniał obrzydzenie i śmierć, jak gąbka chłonie wodę, póki się nie nasyci. On zaś był pełen, aż do przesyty, przesycony własnym żalosnym upadkiem, przesycony śmiercią, nie było w całym świecie nic, co mogłoby go pociągnąć, uradować, pocieszyć.

Z całej duszy pragnął nie wiedzieć już nic o sobie, mieć spokój, być martwym. Niechby spadł grom i zabił go na miejscu! Niechby spomiędzy drzew wyszedł nagle tygrys i pożarł go! Niechby się znalazło jakieś wino, trucizna, która by go odurzyła, dała zapomnienie i sen i nigdy już przebudzenia! Czy nie skalał się wszelkim brudem, czy nie popełnił wszelkich możliwych grzechów i głupstw, czy pomieściłby w duszy jeszcze więcej czczości i pustki? Czy z tym wszystkim można jeszcze żyć? Dalej oddychać, czuć głód, znowu jeść, znowu spać, znowu obcować z kobietą? Czy ten kołowrót nie został już wyczerpany i raz na zawsze zamknięty?

Siddhartha dotarł nad brzeg wielkiej rzeki, tej samej rzeki, przez którą przeprowiał się był łodzią przewoźnika kiedyś, kiedy był jeszcze młody. Nad tą rzeką teraz się zatrzymał, z wahaniem przystanął na brzegu. Osłabł ze zmęczenia i głodu, po co zresztą miał iść dalej, dokąd, w jakim celu? Nie, celu już nie było, nie było w ogóle nic prócz głębokiej, dojmującej tęsknoty, by otrząsnąć się z tego obrzydliwego snu, wypluć mdłe wino, położyć kres nędznemu i żalosnemu życiu.

Nad brzegiem zwieszała się palma kokosowa. Siddhartha oparł się plecami o jej pień, otoczył go ramieniem i patrzył w zieloną wodę, która płynęła w dole, i gdy tak patrzył, bez końca, ani na chwilę nie ustając w swoim biegu, uczył, że całą swoją istotą pragnie rzucić się w tę wodę i utonąć. Z lustra rzeki wyzierała ku niemu straszliwa pustka jego duszy. Oto znalazł się u kresu. Nie pozostało mu już nic innego, jak zgasić płomień, rozbić nieudany kształt swego życia, rzucić je do stóp szydlerczo roześmianym bogom. Oto wielkie wymioty, do których tęsknił: śmierć, rozbicie

znienawidzonej formy! Niechże idzie rybom na pożarcie, skoro jest tak podły, skoro jest tylko szaleńcem, zepsutym i gnijącym ciałem, uśpioną i wykolejoną duszą. Niech go pożrą ryby i krokodyle, niech go rozszarpią demony. Z wykrzywioną grymasem twarzą wpatrywał się w wodę, zobaczył swoje odbicie i splunął na nie. W wielkim zmęczeniu oderwał ramię od pnia i przesunął się trochę, aby spaść prosto w głębinę, aby wreszcie utonąć. Z zamkniętymi oczyma pogrążał się w śmierć.

Wtem z odległych zakątków duszy, z przeszłości zmęczonego życia wydobył się jakiś dźwięk. Było to jedno słowo, jedna zgłoska, którą wypowiedział bezmyślnie, bełkotliwym głosem, stare słowo, którym zaczynały się i kończyły wszystkie modlitwy braminów, święte Om, które znaczy tyle co "doskonałość" albo "spełnienie". I w tej chwili, gdy dźwięk Om doszedł do uszu Siddharthy, jego uśpiony duch nagle się przebudził i rozpoznał głupotę swego czynu.

Siddhartha przeraził się do głębi. A więc tak z nim było, tak bardzo był zagubiony, tak pobłądził i utracił wszelkie rozeznanie, że gotów był szukać śmierci, że mogło w nim wzrosnąć to pragnienie, ta dziecinna chęćka: znaleźć spokój, uśmiercając ciało! Czego nie były w stanie dokonać cała męka ostatnich czasów, całe otrzeźwienie i cała rozpacz, tego dokonała ta krótka chwila: rozpoznał własną nędzę i błąd. — Om! — wyrzekł do siebie — Om!

I przypomniał sobie o brahmanie i o niezniszczalności życia, o wszystkich boskich rzeczach, o których był przedtem zapomniawszy.

Była to wszak tylko jedna chwila, jedno mgnienie. Siddhartha osunął się u stóp palmy, powalony zmęczeniem, mamrocząc Om, złożył głowę na korzeniach i zapadł w głęboki sen.

Spał głęboko i bez marzeń, co od dawna mu się już nie zdarzało. Kiedy po paru godzinach się zbudził, wydawało mu się, że minęło dziesięć lat, słyszał cichy szmer wody, nie wiedział, gdzie jest ani skąd się tu wziął, otworzył oczy, ze zdumieniem zobaczył nad sobą drzewa i niebo i przypomniał sobie, gdzie jest i jak się tu znalazł. Ale zanim sobie to przypomniał, upłynęła chwila, a przeszłość wydała mu się jakby okryta zasłoną, nieskończenie odległa, nieskończenie daleka, nieskończenie obojętna. Wiedział tylko, że porzucił swoje dawne życie (w pierwszej chwili przytomności tamto życie wydało mu się niczym dawno minione poprzednie wcielenie, niczym faza poprzedzająca narodziny jego teraźniejszego ja), że pełen wstrętu i zwątpienia chciał się w ogóle rozstać z życiem, ale że gdzieś nad rzeką, pod palmą kokosową przyszedł

do siebie, ze świętym słowem Om na ustach, potem zasnął, a teraz obudził się i spojrział na świat jako całkiem inny człowiek. Cicho wymówił słowo Om, z którym był zasnął, i zdało mu się, że cały długi sen był drugim, skupionym wymawianiem Om, myśleniem Om, zanurzeniem się i zupełnym roztopieniem w Om, w tej bezimiennej pełni, w doskonałości. A spał tak świetnie! Nigdy jeszcze sen tak go nie odświeżył, nie orzeźwił, nie odmłodził. Może naprawdę umarł, przekroczył granicę życia, a teraz narodził się w nowej postaci? Nie, przecież znał siebie, znał swoje ręce i stopy, znał to miejsce gdzie leżał, znał jaźń mieszkającą w jego piersi, znał Siddharthę — samowolnego, chodzącego własnymi drogami Siddharthę — ale ten Siddhartha odmienił się, był kimś nowym, cudownym wyspanym, cudownie rześkim, radosnym i ciekawym.

Siddhartha podniósł się i zobaczył wtedy, że naprzeciw niego siedzi w pozie kontemplacji jakiś mężczyzna, obcy człowiek, mnich w żółtej opończy i z ogoloną głową. Przyjrzał się temu człowiekowi o ogolonej czaszce i twarzy pozbawionej zarostu i gdy mu się tak przyglądał, po małej chwili rozpoznał w nim Gowinę, swego przyjaciela z lat młodości, Gowinę, który przystał do Wzniosłego Buddy. Gowinda również się postarzał, ale jego twarz zachowała dawne rysy, wciąż jeszcze wyrażała ten sam zapał, wierność, napięcie poszukiwania, lęk. Gdy zaś Gowinda, czując na sobie czyjś wzrok, otworzył oczy i spojrział nań, Siddhartha zorientował się, że przyjaciel go nie poznaje. Cieszył się, że tamten się zbudził, najwidoczniej od dawna tu siedział i czekał jego przebudzenia, chociaż go nie rozpoznawał.

— Spałem — rzekł Siddhartha. — Skąd się tu wzięłeś?

— Spałeś — odrzekł Gowinda. — Źle jest spać w miejscu, gdzie zdarzają się węże, a dzikie zwierzęta mają swoje ścieżki. Jestem, o panie, uczniem Wzniosłego Gautamy, Buddy, pustelnika z rodu Śakjów, i wraz z grupą naszych pielgrzymów przechodziłem tą drogą, gdy ujrzałem, że leżysz tu i śpisz w miejscu, gdzie niebezpiecznie jest spać. Toteż próbowałem cię zbudzić, o panie, a spostrzegłszy, że zasnąłeś bardzo głęboko, zostałem w tyle za pielgrzymami i siadłem przy tobie. A potem zamiast strzec twojego snu, sam chyba zasnąłem. Źle wypełniłem swój obowiązek, zmogło mnie zmęczenie. Teraz zaś, skoro się zbudziłeś, pozwól mi się oddalić i dogonić moich braci.

— Dzięki ci, samano, że strzegłeś mego snu — rzekł Siddhartha. — Uczniowie Wzniosłego mają dobre serca. Teraz możesz już spokojnie odejść.

— Idę, panie. Obyś czuł się zawsze jak najlepiej.

— Dziękuję ci, samano.

Gowinda uczynił gest pozdrowienia i rzekł:

— Bądź zdrów.

— Bądź zdrów, Gowindo — rzekł Siddhartha.

Mnich zatrzymał się.

— Wybacz, panie, lecz skąd znasz moje imię?

Siddhartha zaśmiał się.

— Znam cię, Gowindo, z domu twego ojca, i ze szkoły braminów, i z ofiarnych praktyk, i z naszej wędrówki do samanów, i z tej godziny, kiedy w ogrodzie Dżetawana przystałeś do nauki Wzniosłego.

— Jesteś Siddhartha! — wykrzyknął Gowinda. — Teraz cię poznaję i nie pojmuję, żem cię nie poznał od razu. Witaj mi, Siddhartho, wielka jest moja radość, że cię znowu widzę.

— I ja się cieszę. Strzegłeś mego snu, raz jeszcze dzięki ci za to, choć nie potrzebowałem strażnika. Dokąd idziesz, przyjacielu?

— Donikąd. My, mnisi, zawsze jesteśmy w drodze, póki nie nadejdzie pora deszczowa, zawsze ciągniemy z miejsca na miejsce, przestrzegamy reguły, głosimy naukę, przyjmujemy jałmużnę, idziemy dalej. Tak jest zawsze. Ale ty, Siddhartho, powiedz, dokąd ty idziesz?

— I ze mną, przyjacielu, — rzekł Siddhartha — jest podobnie. Nie zmierzam donikąd. Jestem po prostu w drodze. Odbywam pielgrzymkę.

— Mówisz, że odbywasz pielgrzymkę i wierzę ci — rzekł Gowinda. — Ale wybacz, Siddhartho, nie wyglądasz wcale na pielgrzymę. Nosisz strój ludzi bogatych, nosisz wytworne obuwie, a twoje włosy wydzielają woń pachnidła, nie są włosami pielgrzymy ani samany.

— Zgoda, mój miły, masz rację, twoje bystre oko dojrzy wszystko. Ale też nie powiedziałem ci, że jestem samaną. Powiedziałem: odbywam pielgrzymkę. I tak jest naprawdę: odbywam pielgrzymkę.

— Odbywasz pielgrzymkę — rzekł Gowinda. — Ale rzadko zdarza się odbywać pielgrzymkę w takim stroju, w takim obuwiu, z takimi włosami. Pielgrzymuję od wielu lat i nigdy jeszcze nie spotkałem takiego pielgrzymy.

— Wierzę ci, Gowindo. Ale oto dziś spotkałeś właśnie takiego pielgrzymę, tak obutego i tak odzianego. Przypomnij sobie, mój druho: świat zjawisk jest przemijający, nasze stroje przemijają i nasze fryzury, i wreszcie same nasze włosy i ciała. Noszę ubiór bogacza, masz rację. Noszę go, bo byłem bogaty, bo byłem jednym z

nich, i noszę włosy takie jak ludzie światowi i szukający uciech, bo byłem jednym z nich.

— A teraz, Siddhartho, kim jesteś teraz?

— Nie wiem tego, wiem tylko tyle co ty. Jestem w drodze. Byłem człowiekiem bogatym, a teraz już nie jestem, czym zaś będę jutro, tego nie wiem.

— Czy straciłeś majątek?

— Straciłem majątek albo majątek stracił mnie. Przepadł gdzieś. Koło postaci obraca się szybko, Gowindo. Gdzie jest Siddhartha-bramin? Gdzie Siddhartha-samana? Gdzie Siddhartha bogaty? Rzeczy przemijanie szybko zmieniają postać, Gowindo, przecież wiesz.

Gowinda długo patrzył na przyjaciela młodości wzrokiem pełnym zwątpienia. Potem pozdrowił go, jak pozdrawia się dostojników i poszedł swoją drogą.

Siddhartha patrzył za nim z uśmiechem, wciąż jeszcze go kochał, kochał wiernego, trwożliwego Gowindę. Jakżeby zresztą w tej chwili, w tym cudownym momencie, po wspaniałym śnie, gdy Om przepelniało jego duszę, nie miałby kogoś lub czegoś kochać? Na tym właśnie polegał cud, jaki dokonał się we śnie i za sprawą Om — Siddhartha kochał, był pełen radosnej miłości do wszystkiego, co widział, pomyślał, iż na tym właśnie polegała przedtem jego straszna choroba, że nie mógł niczego ani nikogo pokochać.

Z uśmiechem na twarzy patrzył za oddalającym się mnichem. Sen go pokrzepił, ale dręczył go głód, od dwóch bowiem dni nie miał nic w ustach, a dawno już minęły czasy, gdy był odporny na głód. Myślał o tych czasach ze smutkiem, ale także ze śmiechem. Przypomniawszy sobie, jak to chwalił się wtedy przed Kamalą trzema rzeczami, posiadał trzy szlachetne, niedościgłe umiejętności: post — czekanie — myślenie. Oto, co stanowiło jego majątek, jego potęgę i siłę, co było mu niezawodną podporą: przyswoił sobie w pilnych, mozolnych latach młodości te trzy kunszty, nic poza tym. A teraz opuściły go, wymknęły mu się, nie umiał już ani pościć, ani czekać, ani myśleć. Poświęcił je w imię rzeczy najmarniejszych, najbardziej ulotnych — w imię zmysłowej rozkoszy, wygod, bogactwa! Zaiste, dziwnie mu się przygodziło. Zdawało się, iż stał się naprawdę jednym z ludzi-dzieci.

Siddhartha zaczął rozmyślać nad swoim położeniem. Myślenie przychodziło mu z trudem, nie miał w gruncie rzeczy najmniejszej do tego ochoty, ale przymusił się.

Oto, myślał, wszystkie te najbardziej ulotne rzeczy znowu mi się wymknęły, oto stoję znowu pod promieniami słońca, tak jak stałem w dzieciństwie, niczego nie posiadam, niczego nie umiem, nie mam żadnej mocy, niczego się nie nauczyłem. Jakież to dziwne! Teraz, kiedy nie jestem już młody, kiedy włosy zaczynają mi siwieć, siły opuszczają, teraz zaczynam znowu od początku, od dzieciństwa. Znowu nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. Tak, dziwny los przypadł mu w udziale! Stoczył się w dół i znalazł się teraz oto w świecie z pustymi rękami, ze wszystkiego odarty i zagubiony. Myśląc o tym nie potrafił się jednak martwić, nie, miał nawet wielką ochotę roześmiać się, śmiać się z samego siebie, z tego dziwnego, nedorzecznego świata.

— Toczę się w dół — rzekł sam do siebie ze śmiechem, a gdy wymawiał te słowa, jego spojrzenie padło na rzekę i ujrzał, że rzeka także toczy się w dół, zawsze płynie w dół, a zdaje się przy tym śpiewać i cieszyć. To mu się spodobało, uśmiechnął się do rzeki przyjaźnie. Czyż nie w tej rzece chciał się topić, kiedyś, sto lat temu, a może mu się to tylko śniło?

W istocie, dziwne było moje życie, myślał, dziwnymi biegło zakrętami. Jako dziecko miałem do czynienia tylko z bogami i ofiarami. Jako młodzieniec miałem do czynienia tylko z ascezą, rozmyślaniami i medytacją, szukałem brahmana, czciłem wieczyste pierwiastki w atmanie. Jako młody mężczyzna przyłączyłem się do pokutników, żyłem w puszczy, znosiłem żar i zimno, uczyłem się głodować, przyuczałem swoje ciało do obumierania. Dziwnym zrządzeniem przyszło do mnie wtedy poznanie za sprawą wielkiego Buddy, nauka o jedności świata stała się częścią mnie samego. Ale także Buddę i wielką naukę musiałem porzucić. Poszedłem dalej i uczyłem się u Kamali rozkoszy miłosnej, a u Kamaswamięgo handlu, gromadziłem pieniądze, trwoniłem pieniądze, nauczyłem się kochać swój żołądek, dogadzać zmysłom. Wiele lat to trwało, aż wreszcie duch we mnie przygasł, odczyłem się myśleć, zapomniałem o jedności. Czyż nie jest tak, że powoli, okrężną drogą w wieku męskim doszedłem do niedojrzałości, myśliciel stał się dzieckiem? A jednak była to dobra droga, a jednak ptak w mojej piersi wciąż żyje. Dziwna, doprawdy, droga! Trzeba było przedrzeć się przez tyle głupoty, tyle występków, tyle błędów, tyle odrazy, rozczarowań i nieszczęścia, tylko po to, by na koniec znowu stać się dzieckiem i móc zacząć od nowa. Ale droga była słuszna, moje serce jej przytakuje, oczy się do niej śmieją. Musiałem zaznać rozpacz, musiałem dojść aż do dna, do najgłępszej ze wszystkich myśli, myśli o samobójstwie, po to, by doświadczyć łaski, znowu usłyszeć

Om, znowu dobrze spać i dobrze się obudzić. Musiałem stać się głupcem, aby znowu odnaleźć w sobie atmana. Musiałem zgrzeszyć, aby znowu móc żyć. Dokąd jeszcze zaprowadzi mnie ta droga? Pocieszna droga, idzie zakolami, może kręci się w kółko. Niech sobie idzie jak chce, pójdę nią.

Czuł w piersi przypływ niezwyklej radości.

Skąd, zapytał swego serca, skąd bierze się ta radość? Z tego długiego, dobrego snu, który tak dobrze mi zrobił? Ze słowa Om, które wyrzekłem? Czy stąd, że odszedłem, że dokonała się ta ucieczka, że nareszcie jestem znowu wolny i stoję pod niebem jak dziecko? Och, jak dobrze jest uciec, jak dobrze jest odzyskać wolność! Jakie czyste i piękne tu powietrze, jak dobrze oddychać! Tam, skąd odszedłem, wszystko pachniało olejkami, przyprawami, winem, przesytem, gnuśnością. Jak ja nienawidziłem tego świata bogaczy, hulank, gry! Jak nienawidziłem samego siebie za to, że tak długo tkwiłem w tym strasznym świecie. Jak się nienawidziłem, jak samego siebie okradałem, zatruwałem, dręczyłem, jak się postarzałem, i jaki zrobiłem się zły! Nie, nigdy odtąd nie będę sobie wyobrażał, jak to kiedyś lubiłem, że Siddhartha jest mądry! Jedno wszak uczyniłem dobrze, jedno mi się podoba, jedno muszę pochwalić — że oto nareszcie koniec tej nienawiści do samego siebie, koniec tego głupiego i pustego życia. Chwalę cię, Siddhartho, po tylu latach głupoty wpadłeś znów na jakiś pomysł, coś zrobiłeś, usłyszałeś, jak śpiewa ptak w twojej piersi i poszedłeś za nim.

Tak chwalił się, cieszył się sobą, wsłuchiwał się ciekawie w swój żołądek, kurczący się z głodu. W tych ostatnich czasach zakosztował i wyrzucił z siebie, tak to czuł, sporo cierpień, sporo bólu, najadł się aż do rozpacz i aż do śmierci. Dobrze się stało. Mógł przecież jeszcze długo tkwić u Kamaswamiego, zarabiać pieniądze, trwonić je, tuczyć brzuch i skazywać duszę na pragnienie, długo jeszcze mógł być mieszkać w tym wygodnym, wymoszczonym poduszczkami piekle, gdyby nie ten moment zupełnej rozpacz i zwątpienia, ten ostateczny moment, kiedy to zawisł nad rwącą wodą i gotów był z sobą skończyć. Czuł przecież tę rozpacz, to głębokie obrzydzenie, i nie poddał mu się, ten ptak, to radosne źródło i ten głos w jego wnętrzu był jeszcze żywy — i dlatego Siddhartha cieszył się teraz, dlatego się śmiał, dlatego jego twarz, okolona już posiwiałymi włosami, promieniała.

“Dobrze jest, myślał, samemu zakosztować wszystkiego, co człowiek powinien wiedzieć. Że światowe uciechy i bogactwo nie są dobrem, to wiedziałem już jako dziecko. Wiedziałem to już dawno, ale przeżyłem dopiero teraz. I teraz wiem, wiem nie tylko umysłem, ale oczami, sercem, żołądkiem. I całe szczęście, że wiem!”

Długo dumał nad swoją przemianą, słuchał śpiewającego z radością ptaka. A przecież zdawało się już, że ten ptak w jego piersi umarł, czuł przecież jego śmierć? Nie, umarło w nim coś innego, coś, co już od dawna tęskniło do śmierci. Czy nie to, co chciał już uśmiercić w żarliwych latach pokutnych? Swoje ja, małe, lękliwe i dumne ja, z którym tyle lat walczył, które go zawsze zwyciężało, które po każdym śmiertelnym ciosie ożywało na powrót, nie dopuszczało radości, czuło strach? Czy nie ono umarło wreszcie dzisiaj, tu, w lesie, nad śliczną rzeką? Czy nie przez tę śmierć czuł się teraz niczym dziecko, taki ufny, wolny od strachu, pełen radości?

Siddhartha domyślał się też, dlaczego to jako bramin i jako pokutnik daremnie walczył z jaźnią. Przeszkadzał mu nadmiar wiedzy, za dużo było świętych wersetów, za dużo reguł ofiarnych, za dużo umartwień, za wiele trudu i wysiłku! Wypełniała go pycha, zawsze był najbystrzejszy, najbardziej gorliwy, zawsze o krok przed innymi, zawsze ten uduchowiony, ten, który wie, zawsze w szatach kapłana albo mędrca. Jego ja ukryło się w tym kapłaństwie, w tej pysze, w tym uduchowieniu, siedziało tam mocno i rosło, on zaś sądził, iż je uśmierci postem i pokutą. Teraz to spostrzegł, że tajemniczy głos miał rację, mówiąc, że nie zdołałby go nigdy wybawić żaden nauczyciel. Dlatego musiał wejść w świat, zatracić się w uciechach, we władzy, w kobietach i pieniądzech, musiał wdać się w interesy, grać w karty, pić i gonić za bogactwami, aż umarł w nim kapłan i samana. Dlatego musiał ścierpieć te nienawistne lata, znosić obrzydzenie, pustkę, bezsensowność jałowego i zmarnowanego życia, aż do końca, aż do gorzkiej rozpacz, aż mógł w nim umrzeć także Siddhartha rozpustnik i żądny bogactw. I ten Siddhartha umarł, ze snu obudził się nowy Siddhartha. I ten Siddhartha także się zestarzeje, i on będzie musiał kiedyś umrzeć, Siddhartha był bowiem bytem ulotnym, przemijającym, w każdej swojej postaci. Ale dziś był młody, nowy Siddhartha był dzieckiem i przepełniała go radość.

Myślał o tym wszystkim, z uśmiechem słuchał, jak mu burczy w brzuchu, z wdzięcznością przysłuchiwał się brzęczeniu pszczoły. Wesoło patrzył na płynącą rzekę, nigdy jeszcze żadna woda nie podobała mu się tak bardzo jak ta, nigdy odgłosy i obraz płynącej wody nie wydały mu się tak wyraziste i piękne. Odnosił wrażenie, że rzeka ma mu do powiedzenia coś szczególnego, coś, czego jeszcze nie wiedział, co go dopiero czekało. W tej rzece Siddhartha chciał się topić, w tej rzece utonął dziś dawny, zmęczony, zrozpaczony Siddhartha. Ale nowy Siddhartha czuł głęboką miłość do płynącej warko wody i postanowił w duchu, że tak szybko się z nią nie rozstanie.

Przewoźnik

“Zostanę nad tą rzeką, myślał Siddhartha, to ta sama rzeka przez którą przeprowaiałem się w drodze do ludzi-dzieci. Przewoźnik okazał mi wtedy tyle przyjaźni, pójdę do niego, kiedyś z jego chaty moja droga powiodła mnie ku nowemu życiu, które teraz zestarzało się i umarło — niech moja terazniejsza droga, niech moje nowe życie rozpocznie się w tym samym miejscu!”

Tkliwie spoglądał w wartko płynący nurt, w przejrzystą zieleń wody, w kryształowe linie jej zagadkowego rysunku. Widział, jak z głębin wznoszą się ku górze świetliste perełki, jak na powierzchni kołyszą się bańki powietrza, a w nich odbity błękit nieba. Rzeka patrzyła na niego tysiącem oczu, zielonych, białych, kryształowych, błękitnych. Tak bardzo kochał tę wodę, tak się nią zachwycił, taki był jej wdzięczny. Słyszał w sercu obudzony głos, który mówił: Kochaj tę wodę! Zostań przy niej! Ucz się od niej! Och tak, tego właśnie pragnął: uczyć się od niej, słuchać jej. Kto rozumie tę wodę i jej tajemnice — zdawało mu się — ten zrozumie też wiele innych rzeczy, wiele tajemnic, wszystkie tajemnice.

Dziś wszakże dostrzegł z tajemnic rzeki tylko jedną i ta poruszyła go do głębi. Widział oto, że rzeka płynie i płynie, płynie bez ustanku, a przecież ciągle jest, jest ciągle i zawsze ta sama, a przecież w każdej chwili nowa! Któż zdołałby to pojąć, któż to zrozumie! Siddhartha nie pojmował i nie rozumiał, czuł tylko, jak poruszają się w nim jakieś przecucia, odległe wspomnienia, boskie głosy.

Podniósł się, głód jaki odczuwał w całym ciele, był nieznośny. Przejęty powędrował dalej, ścieżką wzdłuż brzegu, w kierunku przeciwnym prądowi, słuchał szumu fal, słuchał, jak w jego ciele odzywa się głód.

Gdy doszedł do przeprawy, łódź akurat czekała, a w łodzi stał ten sam człowiek, który kiedyś przewoził na drugi brzeg młodego samaną. Siddhartha poznał go, przewoźnik także bardzo się postarzał.

— Przewieziesz mnie? — spytał.

Przewoźnik, zdumiony na widok tak dostojnego pana wędrującego samotnie piechotą, wziął go na łódź i odbił od brzegu.

— Obrałeś sobie piękne życie — rzekł gość — pięknie musi być żyć co dzień nad tą wodą i pływać po niej.

Wioślarz poruszył się z uśmiechem:

— Tak, to piękne życie, dobrze powiedziałaś panie. Ale czy każde życie, każda praca nie jest piękna?

— Może. Ale ja zazdroszczę ci twojej.

— Och, szybko byś ją sobie uprzykrzył. To nie dla ludzi, którzy noszą wytworne szaty.

Siddhartha zaśmiał się.

— Raz już dziś przyglądano mi się z powodu mego ubioru, przyglądano mi się nieufnie. Czy nie zechciałbyś przewoźniku, przyjąć ode mnie tych strojów, które mi ciążą? Trzeba ci bowiem wiedzieć, że nie mam pieniędzy, aby zapłacić ci za przeprawę.

— Racyzysz żartować, o panie — roześmiał się przewoźnik.

— Nie żartuję, przyjacielu. Popatrz, raz już przewoziłeś mnie przez tę rzekę za dobre słowo. I dziś mogę ci tylko podziękować i prosić, byś przyjął w zamian moje suknie.

— Jakże będziesz dalej podróżował, panie?

— Otóż ja wcale nie chcę dalej podróżować. Chętnie wyrzeknę się dalszej wędrówki, jeżeli dasz mi jakiś stary fartuch i zatrzymasz jako pomocnika, czy raczej jako ucznia, bo najpierw musiałbym się nauczyć obchodzić z łodzią.

Przewoźnik długo wpatrywał się w obcego przybysza, jakby czegoś szukając w pamięci.

— Teraz cię poznaję — rzekł na koniec. — Spałeś kiedyś w mojej chacie, już dawno temu, pewnie z górą dwadzieścia lat, a ja przewiozłem cię na drugi brzeg i rozstaliśmy się jak dobrzy przyjaciele. Czy nie byłeś wtedy samaną? Nie pamiętam już, jak masz na imię?

— Nazywam się Siddhartha, i kiedy mnie ostatni raz widziałeś byłem samaną.

— Witaj więc, Siddhartho. Ja nazywam się Wasudewa. Mam nadzieję, że i dziś zostaniesz u mnie w gościnie, zanocujesz w mojej chacie i opowiesz mi, skąd pochodzisz i dlaczego te stroje tak ci ciążą.

Dotarli na środek rzeki i Wasudewa wziął się ostrzej do wiosła, aby nie dać się znieść prądowi. Pracował silnymi ramionami spokojnie, z wzrokiem utkwionym w dziobie łodzi. Siddhartha siedział i przypatrywał mu się, i przypominał sobie, jak już wtedy, ostatniego dnia swego samańskiego życia, uczył w sercu miłość do tego człowieka. Z wdzięcznością przyjął zaproszenie Wasudewy. Gdy dobili, pomógł mu umocować łódź do pali, potem zaś przewoźnik zaprosił go do chaty, przyniósł chleb i

wodę, a Siddhartha jadł z apetytem, i z apetytem spożył też owoce mango, które podsunął mu Wasudewa. Potem, gdy słońce miało się już ku zachodowi, siedli na pniaku nad wodą i Siddhartha opowiadał przewoźnikowi, skąd pochodzi i jak upłynęło mu życie, tak jak je zobaczył w owej godzinie zwątpienia. Opowiadał tak do późna w noc.

Wasudewa słuchał z wielką uwagą, chłonał wszystko, co Siddhartha mówił o swoim rodowodzie i latach dziecińczych, o nauce, poszukiwaniach, wszystkich radościach i wszystkich biedach. Pośród zalet przewoźnika ta właśnie należała do największych: jak mało kto potrafił słuchać. Choć nie odzywał się ani słowem, mówiący czuł, jak Wasudewa przyjmuje jego słowa, w milczeniu, z całym spokojem, z całą gotowością, z całą uwagą. Żadnego nie pomija, żadnego nie oczekuje niecierpliwie, nie opatruje ich ani pochwałą ani naganą, tylko słucha. Siddhartha czuł, jakim szczęściem jest zwierzać się takiemu słuchaczowi, zawierzyć jego sercu własne życie, własne poszukiwania, własne cierpienie.

Pod koniec opowieści zaś, gdy Siddhartha mówił o drzewie zwieszającym się nad rzeką i o własnym wielkim upadku, o świętym Om i o tym, jak obudziwszy się czuł wielką miłość do rzeki, przewoźnik jął słuchać ze zdwojoną uwagą, całkowicie pochłonięty, z zamkniętymi oczyma.

Gdy jednak Siddhartha umilkł i przez dłuższą chwilę panowała cisza, Wasudewa odezwał się:

— Jest tak, jak myślałem. Rzeka do ciebie przemówiła. Tobie także okazuje przyjaźń, do ciebie także mówi. To dobrze, to bardzo dobrze. Zostań u mnie, Siddhartho, przyjacielu. Miałem kiedyś żonę, jej posłanie znajdowało się tuż obok mego, ale dawno już zmarła, od dawna już żyję samotnie. Zamieszkać ze mną, miejsca i jedzenia jest tu dosyć dla dwóch.

— Dziękuję ci — rzekł Siddhartha — dziękuję ci i przyjmuję. I dziękuję ci również za to, Wasudewo, że mnie tak dobrze słuchałeś, a nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by słuchał tak jak ty. Tego też będę się od ciebie uczył.

— Nauczysz się — rzekł Wasudewa — ale nie ode mnie. Mnie nauczyła słuchania rzeka, ty też się od niej nauczysz. Rzeka wie wszystko, wszystkiego się można od niej nauczyć. Popatrz, już czegoś się od niej nauczyłeś — że dobrze jest dążyć w dół, pograżać się, szukać głębi. Bogaty i dostoyny Siddhartha zostanie pomocnikiem do wiosł, uczony Siddhartha będzie przewoźnikiem: przecież to też powiedziała ci rzeka. Nauczysz się od niej jeszcze czegoś innego.

Siddhartha odezwał się po dłuższej chwili:

— Czego innego, Wasudewo?

Wasudewa podniósł się.

— Późno już — rzekł. — Chodźmy spać. Ja ci tego nie umiem powiedzieć, przyjacielu. Nauczysz się, może zresztą już wiesz. Widzisz, nie jestem uczonym, nie umiem mówić, nie umiem myśleć. Umieję tylko słuchać i być pobożnym człowiekiem, nic poza tym. Gdybym umiał o tym mówić i uczyć, byłbym może mędrce, a tak jestem tylko przewoźnikiem i moim zadaniem jest przewozić ludzi na drugą stronę rzeki. Wielu już przewoziłem, tysiące, i dla wszystkich moja rzeka była tylko przeszkodą w podróży. Podróżowali za interesami, i po to, żeby zdobyć pieniądze, na wesela i na pielgrzymki i rzeka stawiała im na przeszkodzie, a przewoźnik był po to, żeby pomóc szybko pokonać tę przeszkodę. Ale pośród tych tysięcy było kilku, bardzo niewielu, czterech może pięciu, dla których rzeka nie była przeszkodą, którzy usłyszeli jej głos, wysłuchali go i rzeka stała się dla nich świętością, tak jak dla mnie. A teraz chodźmy na spoczynek, Siddhartho.

Siddhartha został u przewoźnika i nauczył się obsługiwać łódź, a kiedy nie było zajęcia przy przeprawie, pracował razem z Wasudewą na polu ryżowym, zbierał chrust, zrywał banany. Nauczył się strugać wiosła, naprawiać łódź, wyplatać kosze i cieszył się wszystkimi tymi nowymi umiejętnościami, i szybko płynęły dni i miesiące. A jeszcze więcej niż mógł go nauczyć Wasudewa, uczyła go rzeka. Uczył się od niej nieustannie. Przede wszystkim nauczył się od niej słuchania, słuchania ze spokojnym sercem, takiego słuchania, przy którym dusza otwiera się i czeka, nie żywiąc namiętności, niczego nie pragnąc, niczego nie osądzając.

Żył u boku Wasudewy jak przyjaciel, i niekiedy zamieniali ze sobą słowa, nieliczne i przemyślane. Wasudewa nie lubił słów, rzadko udawało się Siddharthcie skłonić go do mówienia.

— Czy i tego sekretu — spytał go kiedyś — nauczyłeś się od rzeki: że czas nie istnieje?

Na twarzy Wasudewy zajaśniał uśmiech.

— Tak, Siddhartho — odrzekł. — Chodzi ci o to, że rzeka jest naraz wszędzie, u źródła i u ujścia, przy wodospadzie i przy przeprawie, i tam gdzie toczy się wartki nurt, w morzu, i w górach, w jeziorze, jest wszędzie naraz i istnieje dla niej tylko chwila obecna, nie ma cieni przyszłości, prawda?

— O to mi chodzi, tak — rzekł Siddhartha. — I kiedy się tego nauczyłem, przyjrzałem się swemu życiu i zobaczyłem je jak tę rzekę, i Siddharthę dziecko oddzielały od Siddharthy dorosłego i od Siddharthy starego tylko cienie, nie rzeczywistego. Narodziny Siddharthy nie były przeszłością, a jego śmierć i złączenie z brahmanem nie były przyszłością. Nie było niczego, niczego nie będzie, wszystko ma swój byt i jest teraz.

Siddhartha mówił z przejęciem, to objawienie uszczęśliwiło go do głębi. Bo czyż czas nie był źródłem wszelkich cierpień, czy wszelkie udręki i obawy nie miały swej przyczyny w czasie, czy wszystko to, co w świecie jest nam wrogiem, albo trudne, nie zostaje usunięte i przezwyciężone z chwilą, gdy pokona się czas gdy można się w myślach odeń oderwać? Mówił z zachwytem, Wasudewa zaś uśmiechnął się doń promiennie i na znak potwierdzenia skinął głową, w milczeniu przytaknął, pogładził Siddharthę po ramieniu, wrócił do swego zajęcia.

I znowu któregoś razu w porze deszczowej, gdy rzeka wezbrała i płynęła z potężnym szumem, Siddhartha rzekł:

— Prawda, przyjacielu, że rzeka przemawia wieloma głosami? Słysząc w niej głos króla i głos wojownika, głos bawołu i głos nocnego ptaka, głos rodzącej kobiety i kogoś, kto wzdycha, i tysiąc innych głosów?

— Jest tak, jak mówisz — przytaknął Wasudewa. — W jej głosie są głosy wszystkich stworzeń.

— A czy wiesz — ciągnął Siddhartha — jakie słowo wymawia, gdy zdołasz usłyszeć naraz wszystkie jej tysięczne głosy?

Twarz Wasudewy zajaśniała uszczęśliwionym uśmiechem, nachylił się do Siddharthy i wyszeptał mu do ucha święte słowo Om. I właśnie to słyszał też w rzece Siddhartha.

Uśmiech Siddharthy upodabniał się coraz bardziej do uśmiechu przewoźnika, był niemal równie promienny, niemal równie przeświecony szczęściem, rozbłyskiwał z tysiąca drobnych zmarszczek i tak jak i Wasudewa był zarazem uśmiechem dziecka i uśmiechem starego człowieka. Wielu podróżnych brało ich za braci. Wieczorami często siadywali razem nad rzeką na pniu drzewa i milczeli i przysłuchiwali się wodzie, która nie była dla nich wodą, ale głosem życia, głosem tego, co jest, tego, co się wiecznie staje. I zdarzało się niekiedy, że słuchając rzeki myśleli o tym samym, o jakiejś rozmowie, toczony przedwczoraj, o jednym z podróżnych, którego twarz i los zaprzętnęły ich uwagę, o śmierci, o swoim dzieciństwie i obydwaj w tym samym

momencie, gdy rzeka powiedziała im coś dobrego, spoglądali na siebie, myśląc dokładnie to samo, jednako uszczęśliwieni tą samą odpowiedzią na to samo pytanie.

Przeprawa i obydwaj przewoźnicy tchnęli czymś szczególnym i niektórzy z podróżnych umieli to wyczuć. Niejeden spojrzawszy w twarz Siddharthy lub Wasudewy poczynął opowiadać o swoim życiu, zwierzał się z cierpień, wyznawał zło, szukał pociechy i rady. Zdarzało się, że któryś poprosił, by wolno mu było spędzić z nimi wieczór i posłuchać rzeki. Zdarzało się też, że przybywali ciekawscy, którym opowiedziano, że oto tu nad rzeką żyją dwaj mędrcy, albo dwaj czarownicy, albo dwaj święci. Ciekawscy zadawali dużo pytań, ale nie otrzymywali na nie odpowiedzi i nie znajdowali nad rzeką ani czarowników ani mędrców, tylko dwóch sympatycznych staruszków, którzy wydawali się milkliwi, trochę dziwaczni i niespełna rozumu. Ciekawscy śmieli się i żartowali, jak to łatwowierny i niemądry naród skłonny jest rozpowszechniać takie pogłoski.

Lata mijały i nikt ich nie liczył. Pewnego dnia przybyli pielgrzymujący mnisi, zwolennicy Buddy Gautamy. Prosimi, by przewieźć ich przez rzekę i opowiadali, że udają się w największym pośpiechu do swego wielkiego nauczyciela, rozeszła się bowiem wieść, iż Wzniosły jest śmiertelnie chory i wkrótce umrze ostatnią śmiercią człowieka, by dostąpić wybawienia. Nie minęło wiele czasu, a przybyła nowa grupa mnichów, i jeszcze jedna, i zarówno mnisi, jak większość pozostałych podróżnych i wędrowców mówiło wyłącznie o Gautamie i jego rychłej śmierci. I jak na wyprawę wojenną, albo koronację zewsząd śpieszą ludzie i zbierają się gromadami jak mrówki, tak oni śpieszyli jak gdyby ciągnęła ich jakaś czarodziejska siła, tam, gdzie Budda oczekiwał śmierci, gdzie miało się dokonać niezwykle wydarzenie — wielki budda tych czasów miał dostąpić światłości.

W tych dniach Siddhartha rozmyślał dużo o umierającym mędrцу, o wielkim nauczycielu, którego głos sam również kiedyś słyszał, w którego oblicze patrzył z nabożną czcią. Myślał o nim życzliwie, miał przed oczyma jego drogę ku doskonałości i uśmiechnął się na wspomnienie słów, które niegdyś, jako młody człowiek wypowiedział do Wzniosłego. Musiały to być słowa dumne i przemądrzałe, przypominał je sobie z uśmiechem. Od dawna nie czuł, iżby go od Gautamy coś dzieliło, choć przecież nie mógł przyjąć jego nauki. Nie, i ktoś, kto naprawdę szuka, kto naprawdę chce znaleźć, nie może przyjąć żadnej nauki. Ten zaś, kto znalazł, mógł uznać każdą naukę, każdą drogę, każdy cel, nic go nie dzieliło od tysięcy innych, którzy żyli w wieczności, oddychali boskim tchnieniem.

Któregoś dnia, gdy tak liczne rzesze pielgrzymowały do umierającego Buddy, wybrała się na pielgrzymkę także Kamala, niegdyś najpiękniejsza z kurtyzan. Dawno zerwała już ze swym poprzednim życiem, oddała swój ogród mnichom Gautamy, przyjęła naukę, stała się przyjaciółką i opiekunką pielgrzymów. Na wiadomość o bliskiej śmierci Gautamy razem ze swoim małym synkiem, małym Siddharthą, wyruszyła w drogę, w zwykłej sukni, piechotą. Razem z synkiem znalazła się nad rzeką, mały jednak wkrótce się zmęczył, chciał wracać do domu, chciał odpocząć, chciał jeść, stał się kapryśny i płaczliwy. Kamala musiała robić częste postoje, chłopczyk był przyzwyczajony do tego, że stawia zawsze na swoim, musiała go karmić, pocieszać i besztać. Nie pojmował, dlaczego ma wraz z matką odbywać męczącą i smutną pielgrzymkę, do nieznanego miejsca, do człowieka, który był święty i leżał na łożu śmierci. Niech sobie umiera, cóż to chłopca obchodzi?

Pielgrzymi znajdowali się niedaleko od przeprawy, gdy mały Siddhartha po raz kolejny zmusił matkę do postojów. Kamala również była zmęczona, i podczas gdy chłopiec żuł banana, przykucnęła na ziemi, przymknęła oczy i wypoczywała. Nagle wydała bolesny krzyk, chłopiec spojrzał na nią przestraszony, zobaczył, jak jej twarz blednie z przerażenia, a spod sukni wypęła mała, czarna żmija, która ukąsiła Kamalę.

Spiesznie pobiegli naprzód, do ludzi. Gdy dotarli w pobliże przeprawy, Kamala upadła na ziemię niezdolna uczynić już ani kroku. Malec podniósł lament, jednocześnie całował matkę i tulił się do niej, ona zaś również głośno wzywała pomocy, aż usłyszał ich stojący u przeprawy Wasudewa. Przybiegł prędko, na rękach zaniósł kobietę do łodzi, chłopiec pobiegł za nimi i wkrótce wszyscy znaleźli się w chacie, gdzie Siddhartha rozniecał właśnie ogień na palenisku. Obejrzał się i zobaczył najpierw twarz chłopca, która dziwnie jakoś poruszyła jego pamięć, przypomniała o czymś zapomnianym. Potem ujrzał kobietę na rękach przewoźnika, a choć leżała bez zmysłów, natychmiast poznał w niej Kamalę i zrozumiał wtedy, że chłopczyk, którego widok tak go uderzył, był jego synem i serce zabiło mu mocniej w piersi.

Ranę Kamali przemyto, ale zdążyła już szernieć i wokół powstało obrzmienie; podano jej leczniczy napój. Wróciła jej przytomność, leżała w chacie na posłaniu Siddharthy, a Siddhartha, który kiedyś tak ją kochał, pochylał się nad nią. Zdawało jej się, że śni, spojrzała z uśmiechem w twarz przyjaciela, z wolna dopiero uświadamiała sobie, co się stało, przypomniała sobie ukąszenie, z lękiem zawołała chłopca.

— Jest tu, przy tobie, nie martw się — rzekł Siddhartha.

Kamala popatrzyła mu w oczy. Mówiła z trudem, język zdrętwiał od jadu.

— Postarzałeś się, mój miły — rzekła. Włosy masz siwe. Ale przypominasz młodego samaną, który kiedyś nieprzyodziały i pokryty kurzem przyszedł do mego ogrodu. Jesteś do niego teraz o wiele bardziej podobny niż wtedy gdy opuściłeś mnie i Kamaswamiego. Przypominasz go w oczach, Siddhartho. Ach, ja też się postarzałam — czy w ogóle mnie poznajesz?

Siddhartha uśmiechnął się.

— Poznałem cię od razu, Kamalo, moja miła.

Kamala wskazała na chłopca i rzekła:

— Czy jego też poznałeś? To twój syn.

Oczy jej wywróciły się białkami do góry i zamknęły. Chłopczyk płakał, Siddhartha posadził go sobie na kolanach, gładził go po włosach i na widok tej dziecinnej twarzyczki przypomniawszy mu się bramińska modlitwa, której nauczył się kiedyś, gdy sam był dzieckiem. Począł ją odmawiać, powoli, śpiewnym głosem, słowa przyływały z przeszłości, z lat dzieciństwa. I pod wpływem tego nucenia chłopiec uspokoił się, westchnął jeszcze parę razy i zasnął. Siddhartha ułożył go na posłaniu Wasudewy. Przewoźnik stał przy palenisku i gotował ryż. Siddhartha rzucił ku niemu spojrzenie, na które tamten odpowiedział uśmiechem.

— Ona umrze — wyrzekł cicho Siddhartha.

Wasudewa skinął głową, po jego dobrej twarzy przemknął odblask ognia.

Kamala raz jeszcze odzyskała przytomność. Twarz jej wykrzywił ból. Z jej ust, pobladłych policzków Siddhartha odczytał cierpienie. Odczytywał je bez słów, uważnie, wyczekująco, zatopiony w tym cierpieniu. Kamala czuła to, jej wzrok poszukał jego oczu.

Wpatrzona w nie odezwała się:

— Widzę teraz, że twoje oczy też się zmieniły. Są zupełnie inne. Po czym więc poznaję, że jesteś Siddhartha? Jesteś nim i nie jesteś.

Siddhartha nie odezwał się, w milczeniu patrzył jej w oczy.

— Czy znalazłeś? — spytała. — Znalazłeś ukojenie?

Uśmiechnął się i położył dłoń na jej dłoni.

— Znalazłeś — rzekła. — Widzę, że znalazłeś. Ja też znajdę ukojenie.

— Już znalazłaś — wyrzekł szeptem Siddhartha.

Kamala nie odrywała odeń oczu. Myślała, że wyruszyła oto w pielgrzymkę do Gautamy, aby ujrzeć twarz człowieka, który osiągnął doskonałość, aby odetchnąć jego spokojem, i że zamiast do Gautamy doszła tylko tutaj, do Siddharthy, i że tak było

dobrze, równie dobrze, jak gdyby zobaczyła tamtego. Chciała to mu powiedzieć, ale język odmawiał jej już posłuszeństwa. Patrzyła nań w milczeniu, on zaś widział, jak w jej oczach dogasa życie. Gdy ostatni ból zaćmił jej oczy, gdy ostatni dreszcz przebiegł jej członki, zamknął dłonią jej powieki.

Długo siedział i patrzył na uśpioną twarz. Długo przyglądał się jej ustom, postarzałym, zmęczonym, o wąskich teraz wargach, i przypomniał sobie, jak to kiedyś we wiośnie swego życia, porównywał te usta do świeżo krajanego owocu figi. Długo tak siedział, długo wpatrywał się w pobladłą twarz, w żłobiące ją bruzdy zmęczenia, chłonął ten obraz, widział swoją własną twarz, tak samo znieruchomiałą, tak samo białą, tak samo zgasłą, i zarazem swoją i jej twarz młodą, czerwone usta, płonące oczy, i przeniknęło go poczucie, że oto wszystko dzieje się teraz i jednocześnie, poczucie wieczności. Czuł w tym momencie głęboko, że wszelkie życie jest niezniszczalne, że każda chwila jest wiecznością.

Kiedy się podniósł, Wasudewa podał mu ryż. Ale Siddhartha nie jadł. Obaj przygotowali sobie posłanie ze słomy w stajence, gdzie trzymali kozę, i Wasudewa ułożył się do snu. Siddhartha zaś wyszedł na dwór i przesiedział noc przed chatą, nasłuchując rzeki, pogrążony w przeszłości, czując, jak poruszają go i oplatają wszystkie chwile całego życia. Od czasu do czasu podnosił się, wchodził do chaty i nasłuchiwał, czy chłopiec śpi.

Wczesnie rano, zanim jeszcze pokazało się słońce, Wasudewa wyszedł ze stajenki i zbliżył się do przyjaciela.

— Nie spałeś — rzekł.

— Nie, Wasudewo. Siedziałem tu, słuchałem rzeki. Dużo mi powiedziała, przepełniła mnie świętą myślą o jedności.

— Zaznałeś bólu, Siddhartho, ale widzę, że twoje serce wolne jest od smutku.

— Tak, przyjacielu, czemużbym miał odczuwać smutek? Ja, który byłem bogaty i szczęśliwy, stałem się jeszcze bogatszy i szczęśliwszy. Obdarzono mnie synem.

— I ja witam radośnie twego syna. Ale teraz, Siddhartho, weźmy się do pracy, dużo jest do zrobienia. Kamala umarła na tym posłaniu, gdzie kiedyś moja żona. Zbudujemy dla niej stos na tym samym wzgórzu, gdzie kiedyś zbudowałem stos dla mojej żony.

Zanim chłopiec zbudził się ze snu, stos był już gotowy.

Syn

Chłopiec uczestniczył splakany i zalękniony w pogrzebie matki, markotnie i z zalęknieniem przystał do Siddharthy, gdy ten powitał w nim swego syna i przyjął serdecznie w chacie Wasudewy. Mały przesiadywał całymi dniami na wzgórzu, gdzie spalono zmarłą, nie chciał jeść, zamykał oczy, zamykał serce, bronił się i wzdragał przed swoim losem.

Siddhartha oszczędzał go i pozostawiał w spokoju, szanował jego smutek. Rozumiał, że syn go nie zna i nie może kochać jak ojca. Z wolna spostrzegł też i pojął, że jedenastolatek jest dzieckiem rozpieszczonym, maminsynkiem, że wychowywał się w dostatku, nawykł do wykwintnych potraw i miękkiego łóżeczka, do rozkazywania sługom. Siddhartha rozumiał, że dotknięty żałobą i rozpieszczony chłopiec nie może od razu dobrowolnie pogodzić się z obcym miejscem i życiem w ubóstwie. Nie zmuszał go do niczego, wykonywał za niego pracę, wyszukiwał dla niego co lepsze kąski. Miał nadzieję, że powoli, wyrozumiałością, zdoła go sobie zjednać.

Kiedy chłopiec przybył do jego domu, Siddhartha nazwał się bogatym i szczęśliwym. Gdy jednak czas upływał, a chłopiec pozostawał obcy i markotny, okazywał dumę i upór, nie chciał wykonywać żadnej pracy, odnosił się do starszych bez szacunku, kradł Wasudewie owoce, Siddhartha pojmował z wolna, że wraz z synem nie przyszło do niego szczęście i pokój, ale cierpienie i troska. Kochał go jednak, i wołał cierpienie i troskę tej miłości niż szczęście i radość bez chłopca.

Odkąd mały Siddhartha zamieszkał w chacie, mężczyźni podzielili się zajęciami. Wasudewa spełniał znowu sam czynność przewoźnika, a Siddhartha, żeby być z synem, pracował w chacie i na polu.

Bardzo długo, długie miesiące Siddhartha czekał, że syn go zrozumie, że przyjmie jego miłość, że ją może odwzajemni. Długie miesiące czekał Wasudewa, przyglądał się, czekał i milczał. Pewnego dnia, gdy młody Siddhartha znowu udręczył ojca swoją krnąbrnością i kapryсами i stłukł mu dwie miski na ryż, Wasudewa wziął wieczorem przyjaciela na stronę i począł z nim rozmawiać.

— Wybacz mi — rzekł — mówię z życzliwego serca. Widzę, że się dręczysz, że jesteś zgryziony. Martwisz się synem i ja też się nim martwię. Młody ptaszek przywykł do innego życia, wyrósł w innym gnieździe. Nie uciekł od bogactw i życia miejskiego tak jak ty, z odrazą i wstrętem, tylko musiał to wszystko porzucić wbrew własnej woli.

Pytałem rzeki, przyjacielu, wiele razy zadawałem jej to pytanie. Ale rzeka śmieje się, wyśmiewa się ze mnie, natrzęsa się z mojej głupoty. Woda dąży do wody, młodość chce do młodości, twój syn znalazł się tam, gdzie nie może się dobrze rozwijać. Zapytaj rzeki, posłuchaj, co ci powie!

Siddhartha spojrział zatroskany w przyjazną twarz, której niezliczone zmarszczki i bruzdy tchnęły niezmaconą pogodą.

Czy ja potrafię się z nim rozstać? — spytał cicho, zawstydzony. — Daj mi jeszcze trochę czasu, przyjacielu! Widzisz, walczę o niego, zabiegam o jego serce, chcę go pozyskać miłością i życzliwą cierpliwością. I do niego też kiedyś przemówi rzeka, on też jest powołany.

Uśmiech Wasudewy rozkwitł jeszcze ciepłej.

— Och, tak, on też jest powołany, w nim też płonie wieczne życie. Ale czy możemy wiedzieć, ty i ja, do czego jest powołany, do jakiej drogi, do jakich czynów, do jakich cierpień? Niemało dane mu będzie wycierpieć, ma serce dumne i zamknięte, a tacy muszą wiele wycierpieć, popełnić wiele błędów, wyrządzić wiele krzywd, wziąć na siebie wiele grzechów. Powiedz mi, przyjacielu, czy ty wychowujesz swojego syna? Czy go do czegoś zmuszasz? Bijesz go? Karcisz?

— Nie, Wasudewo, tego nie robię.

— Widziałem. Nie zmuszasz go, nie bijesz, niczego mu nie nakazujesz, bo wiesz, że miękka substancja silniejsza jest od twardej, woda zwycięża skałę, miłość zwycięża przemoc. Bardzo dobrze, to ci się chwali. Ale czy nie mylisz się, sądząc, że go do niczego nie zmuszasz, nie karcisz? Czy nie krępujesz go swoją miłością? Czy nie zawstydzasz go codziennie, czy twoja dobroć i cierpliwość mu nie ciąży? Czy nie zmuszasz tego zarozumiałego i rozpieszczonego chłopca, by żył w tej chacie z dwoma starszymi mężczyznami, których całym pożywieniem są banany, a już ryż mają za przysmak, których myśli on nie może uznać za swoje, których serca są stare i spokojne, i biją innym rytmem niż jego serce? Czyż to wszystko nie jest dla chłopca przymusem, karą?

Ugodzony tymi słowami Siddhartha spuścił oczy.

— Jak myślisz, co powinienem zrobić? — spytał cicho.

— Zabierz go do miasta, zabierz go do domu jego matki — rzekł Wasudewa. — Są tam jeszcze słudzy, oddaj go w ich ręce. A jeżeli sług nie ma, oddaj go jakiemuś nauczycielowi, nie gwoli nauki, tylko żeby chował się razem z innymi chłopcami i dziewczętami, w świecie, który jest jego światem. Czy nigdy o tym nie pomyślałeś?

— Patrzysz w moje serce — przemówił smutno Siddhartha. — Myślałem o tym często. Ale pomyśl, on i tak nie ma łagodnego usposobienia, jakże mam go oddać temu światu? Czy się nie rozbałamuci, nie zatraci w uciechach i władzy, czy nie będzie powtarzał błędów swojego ojca, czy nie zginie w kołowrocie sansary?

Na twarzy przewoźnika zajaśniał promienny uśmiech; dotknął delikatnie ramienia Siddharthy i rzekł:

— Zapytaj o to rzeki, przyjacielu! Już słyszę, jak się z tego śmieje! Czy doprawdy sądzisz, że jeżeli popełniłeś w życiu tyle głupstw, to po to, by ich oszczędzić swemu synowi? Czy możesz uchronić syna przed sansarą? Jakim cudem? Nauką, modlitwą, upomnieniami? Czyżbyś już całkiem zapomniał ową pouczającą historię o pewnym synu bramina imieniem Siddhartha, którą mi kiedyś w tym miejscu opowiedziałeś? Kto zdołał ustrzec samaną imieniem Siddhartha przed sansarą, przed grzechem, przed żądzą bogactw, przed głupstwami? Czy pobożność ojca, upomnienia nauczycieli, czy jego własna wiedza, jego własne poszukiwania mogły go ustrzec? Siddhartha musiał sam przeżyć swoje życie, sam się tym życiem splamić, sam wziąć na siebie winę, sam wypić gorzki napój, sam znaleźć swoją drogę, jakież ojciec czy nauczyciel zdołałby go przed tym uchronić? Czy naprawdę wierzysz, że komuś ta droga będzie oszczędzona? Może twemu synkowi, bo go kochasz, bo chciałbyś go ochronić przed cierpieniem, bólem, rozczarowaniem? Ależ gdybyś dziesięć razy za niego oddał życie, nie zdołasz odjąć mu ani najmniejszej części losu, który jest mu przeznaczony.

Nigdy jeszcze Wasudewa nie powiedział tak dużo. Siddhartha podziękował mu, poszedł stroskany do domu, długo nie mógł zasnąć. Wasudewa nie powiedział mu nic, czego by sam od dawna nie myślał i nie wiedział. Ale była to wiedza, z której nie potrafił zrobić użytku, silniejsza od tej wiedzy była jego miłość do chłopca, silniejsza jego czułość, silniejszy strach, by go nie utracić. Czy kiedykolwiek coś zdołało tak przywiązać jego serce, czy kochał kogoś tak bardzo, tak ślepo, z takim bólem, tak daremnie, a przecież tak szczęśliwie.

Siddhartha nie mógł pójść za radą przyjaciela, nie mógł oddać syna. Pozwalał, by syn mu rozkazywał, by go lekceważył. Milczał i czekał, co dzień podejmował cichą walkę dobroci, bezdźwięczną wojnę cierpliwości. Wasudewa także milczał i czekał, pełen życzliwości, wszystko rozumiejący, wytrwały. W cierpliwości byli obydwaj mistrzami.

Któregoś dnia, widząc w twarzy chłopca wyraziście rysy Kamali, Siddhartha przypomniał sobie coś, co mu Kamala kiedyś, w czasie młodości powiedziała. "Ty nie potrafisz kochać" — powiedziała Kamala, on zaś przyznał jej rację i porównywał siebie do gwiazdy, a ludzi-dzieci do liści na wietrze — ale zarazem wyczuwał w słowach Kamali wyrzut. Bo rzeczywiście nie umiał nigdy zatracić się bez reszty w drugim człowieku, oddać się całkowicie, zapomnieć o sobie, gwoli tego drugiego być gotowym na każde szaleństwo: nigdy tego nie umiał i na tym, jak mu się wtedy zdawało, polegała ogromna różnica między nim a owymi dziećmi. I teraz, odkąd miał przy sobie syna, on sam stał się jak dziecko, cierpiał przez drugiego człowieka, zatracił się w miłości, głupiał z miłości. I on zaznał, późno bo późno, tej najsilniejszej, tej najdziwniejszej namiętności, cierpiał z tego powodu, cierpiał żałościwie, a przecież był uszczęśliwiony, był odrodzony, był o coś bogatszy.

Owszem, czuł, że ta miłość, ta zaślepiona miłość do syna jest namiętnością, czymś bardzo ludzkim, sansarą, zanieczyszczonym źródłem, mętnym nurtem. A mimo to — czuł zarazem — nie była bez wartości, była konieczna, wywodziła się z jego własnej istoty. I za to pragnienie trzeba było odpokutować, i tego bólu zaznać, i to głupstwo popełnić.

Syn tymczasem zmuszał go do popełniania głupstw, kazał mu zabiegać o siebie, upokarzał co dnia swymi humorami. Ten ojciec nie miał w sobie nic, co by go pociągało, i nic, czego by się bał. Ojciec był dobrym człowiekiem, pełnym dobroci i łagodności, był może człowiekiem bogobojnym, może świętym — ale żadna z tych właściwości nie mogła chłopca podbić. Ojciec, który trzymał go w tej nędznej chacie jak w więzieniu — ten ojciec był nudny, a że na każdą krnąbrność odpowiadał uśmiechem, na wymysły życzliwością, na zły uczynek dobrocią, na tym właśnie polegał jego chytry podstęp i tego chłopiec już zupełnie nie mógł mu darować. Wolałby daleko bardziej, żeby ojciec mu groził, żeby go źle traktował.

Przyszła nareszcie dzień, kiedy młody Siddhartha z całym impetem dał wyraz swemu usposobieniu i zbuntował się przeciwko ojcu. Ojciec bowiem dał mu zajęcie, posłał go po chrust. Chłopiec tymczasem nie wyszedł w ogóle z chaty, stał w miejscu krnąbrny i rozzłoszczony, tupał nogami, zaciskał pięści i z niepohamowaną furią wykrzykiwał ojcu w twarz całą swoją nienawiść i pogardę.

— Sam sobie idź po chrust! — wołał w pasji. — Nie jestem twoim pacholkiem. Tak, nigdy mnie nie bijesz, nie masz odwagi, wiem, chcesz mnie nieustannie karać i poniżać swoją łagodnością i pobłażaniem. Chcesz, żebym się stał taki jak ty, też taki

dobry, taki łagodny, taki mądry! A ja, słyszysz, wolę tobie na złość zostać rabusiem i mordercą i iść do piekła niż być takim jak ty! Nienawidzę cię, choćbyś był sto razy gachem mojej matki.

Złość i gniew kipiały z niego, wylewały się potokiem złych i okrutnych słów na ojca. Potem chłopiec wybiegł z chaty i wrócił dopiero późnym wieczorem.

Następnego dnia zaś zniknął. Znikł także mały, pleciony z dwubarwnej trzciny koszyk, w którym przechowywali miedziane i srebrne monety, otrzymane w zapłacie za przewóz. Znikła też łódź; Siddhartha zobaczył ją u drugiego brzegu. Chłopiec uciekł.

— Muszę za nim iść — rzekł Siddhartha, który po wybuchu z poprzedniego dnia trząśnięty całym z żalu. — Dziecko nie może samo chodzić po puszczy. Zginie. Musimy zbudować tratwę, Wasudewa, i przeprowić się przez rzekę.

— Zbudujemy tratwę — rzekł Wasudawa — żeby sprowadzić łódź, którą chłopiec zabrał. Ale chłopca zostaw w spokoju, przyjacielu, nie jest już dzieckiem, da sobie radę. Chce dostać się do miasta i ma rację, pamiętaj o tym. Zrobił to, co ty sam powinienesz być zrobić. Sam się o siebie zatroszczył i poszedł swoją drogą. Och, widzę, że cierpisz, ale powody tego cierpienia zasługują jedynie na śmiech i ty sam niedługo będziesz się z nich śmiał.

Siddhartha nie odpowiedział. Z siekierą w ręku jął sporządzać bambusową tratwę, a Wasudewa pomógł mu umocować paliki powrósłami. Spuścili tratwę, prąd zniósł ich daleko, dobiwszy do drugiego brzegu musieli ciągnąć tratwę w górę rzeki.

— Po co wzięłeś ze sobą siekierę? — spytał Siddhartha.

— Wiosło mogło zginąć — odrzekł Wasudewa.

Siddhartha wiedział jednak, o czym przyjaciel myśli: że chłopiec schował albo połamał wiosło, by się w ten sposób zemścić i utrudnić im pogoń. I rzeczywiście, w łodzi nie było wiosła. Wasudewa wskazał na dno łodzi i z uśmiechem popatrzył na przyjaciela, jak gdyby chciał rzec: “Nie widzisz, co twój syn chce ci powiedzieć? Nie widzisz, że nie chce, aby go gonić”? Ale Wasudewa nie wyrzekł tych słów na głos. Zabrał się pilnie do strugania nowego wiosła, Siddhartha tymczasem ruszył dalej w ślad za uciekinierem. Wasudewa nie wstrzymywał go.

Siddhartha zapuścił się daleko w las, gdy przyszło mu do głowy, że te poszukiwania nie mają żadnego sensu. Albo — myślał — chłopiec wyruszył dużo wcześniej i teraz jest już w mieście, albo, jeżeli jeszcze jest w drodze, będzie się krył przed pościgiem. Rozmyślając tak dalej, pojął jasno, iż właściwie nie martwi się o

syna, iż w głębi duszy wie, że chłopcu nic się nie stało i że nie grozi mu w puszczy żadne niebezpieczeństwo. Mimo to szedł bez wytchnienia naprzód, już nie po to, by spieszyć chłopcu na ratunek, ale w nadziei, że może zdoła go chociażby jeszcze raz zobaczyć. Tak zaszedł aż do miasta.

W pobliżu miasta na szerokim gościńcu, zatrzymał się u wejścia do pięknego ogrodu, należącego niegdyś do Kamali, tam gdzie niegdyś ujrzał ją pierwszy raz w lektyce. W jego duszy poruszyły się wspomnienia, ujrzał samego siebie stojącego przed laty w tym miejscu, młodego, zarośniętego, brudnego, na wpół nagiego samanę.

Stał długo, zamyślony patrzył, wsłuchiwał się w historię swojego życia. Stał długo i przyglądał się mnichom, i zamiast nich widział wśród drzew młodego Siddharthę i młodą Kamalę. Widział wyraźnie, jak zostaje przez Kamalę podjęty, jak przyjmuje od niej pierwszy pocałunek, z jaką dumą i pogardą spogląda wstecz na swoją bramińską przeszłość, z jaką dumą i pożądlivością rozpoczyna światowe życie. Ujrzał Kamaswamię, sługi, uczy, roznamiętnionych graczy, muzykantów, śpiewającego ptaka w klatce Kamali, przeżywał to wszystko jeszcze raz, oddychał sansarą, był raz jeszcze stary i znużony, raz jeszcze pragnął skończyć ze swoim życiem, raz jeszcze uzdrowiło go święte Om.

Przestawszy dłuższą chwilę u bram ogrodu, zrozumiał, że pragnienie, które gnało go aż tutaj, było niedorzeczne, że nie może pomóc synowi, że nie powinien czepiać się go tak kurczowo. Głęboko w sercu czuł miłość do dziecka, które odeń uciekło, czuł tę miłość jak ranę, ale czuł także, że rana ta jest mu zadana nie po to, aby ją rozdrapywać i jątrzyć, że ma się rozwinąć w kwiat i jaśnieć blaskiem.

Ale w tym momencie rana jeszcze nie zakwitła, jeszcze nie jaśniała, i Siddhartha był smutny. Wyruszył przecież, żeby odzyskać syna, a oto ten upragniony cel rozplynął się w nicość. Zasmucony usiadł na ziemi, czuł, że w jego sercu coś umiera, czuł pustkę, nie widział wokół siebie nic radosnego, nic, do czego warto by dążyć. Siedział pogrążony w sobie i czekał. Tego nauczył się od rzeki: czekać, być cierpliwym, nasłuchiwać. Siedział więc w pyle drogi i nasłuchiwał, wsłuchiwał się w swoje serce, które biło zmęczeniem i żalem, czekał na głos. Siedział tak nasłuchując dłuższy czas, nie widział już nic wokół siebie, zapadał w pustkę, nic go nie wstrzymywało, nie widział przed sobą żadnej drogi. A gdy rana paliła, wymawiał bezdźwięcznie Om, wypełniał się Om. Zobaczyli go mnisi w ogrodzie, a że siedział tak przez wiele godzin i na jego siwych włosach osiadł kurz, jeden z nich podszedł i położył przed nim dwa banany. Ale starzec go nie zauważył.

Z tego odrętwienia zbudziło go dotknięcie czyjejś ręki na ramieniu. Od razu poznał ten dotyk, delikatny, nieśmiały, i przyszedł do siebie. Podniósł się i pozdrowił Wasudewę, który przyszedł tu za nim. A kiedy spojrzał w przyjazną twarz Wasudewy, kiedy zobaczył drobne, jak gdyby wypełnione uśmiechem zmarszczki, pogodny wyraz oczu, sam się uśmiechnął. Dostrzegł teraz leżące na ziemi owoce, podniósł je, wręczył jeden przewoźnikowi i sam zjadł drugi. Potem w milczeniu poszedł z Wasudewą do lasu, wrócił do przeprawy. Żaden z nich nie mówił o tym, co się dziś wydarzyło, żaden nie wymienił imienia chłopca, żaden nie wspomniał o jego ucieczce, żaden nie mówił o ranie. Siddhartha położył się na swoim posłaniu, a gdy po chwili Wasudewa podszedł, przynosząc mu czarę kokosowego mleka, Siddhartha już spał.

Om

Rana paliła jeszcze długo. Niekiedy Siddhartha przewoził na drugi brzeg podróżnych, którzy mieli ze sobą syna albo córkę, i nie mógł patrzeć na to bez zazdrości, nie mógł się powstrzymać, by nie myśleć: "Tysiącom ludzi dane jest to największe szczęście — czemu mnie jego odmówiono? Żli ludzie, złodzieje, rabusie mają dzieci, kochają je i są przez nie kochane, tylko nie ja". Myśli miał proste, nie wdawał się w głębsze rozważania — tak bardzo upodobił się do ludzi-dzieci. Patrzył teraz na ludzi inaczej niż przedtem, mniej przenikliwie, nie tak dumnie, a za to cieplej, z większą ciekawością, bardziej spragniony udziału w ich życiu. Gdy przewoził przez rzekę zwyczajnych podróżnych, kupców, wojowników, kobiety, nie wydawali mu się już obcy jak kiedyś: rozumiał ich, rozumiał i dzielił ich życie, którym kierowały nie myśli i głębokie rozeznanie, ale jedynie popędy i pragnienia, czuł się jednym z nich. Choć był już bliski doskonałości i cierpiał już od ostatniej rany, wydawało mu się, że wszyscy ci zwykli ludzie są jego braćmi, ich próżność, zachcianki i śmieszności przestały go śmieszyć, były zrozumiałe, godne miłości, ba — godne szacunku. Ślepa miłość matki do dziecka, zaślepiony i niemądry ojciec, który pyszni się synem jedyńkiem, młoda, próżna kobieta, która w swym zaślepieniu myśli tylko o klejnotach i pełnych uwielbienia spojrzeniach mężczyzn, wszystkie te popędy, te dziecinne pasje, te zwyczajne, bezrozumne, ale niebywale mocne, mocno szczipione z życiem i sterujące jego biegiem instynkty nie były już dla Siddharthy dziecinną głupotą, widział, że ludzie nimi żyją, że dla nich gotowi są nieskończenie wiele zrobić, ruszać w dalekie podróże, prowadzić wojny, nieskończenie wiele ścierpieć,

nieskończenie wiele znieść, i za to mógł ich kochać, w każdej ich namiętności, w każdym uczynku widział życie, wiecznie żywy, niezniszczalny boski pierwiastek. Ci ludzie ze swym ślepyim oddaniem, ślepą siłą i namiętnością zasługiwali na miłość i podziw. Nie brakowało im niczego prócz jednej rzeczy, mędrzec i myśliciel miał nad nimi jedną tylko przewagę, drobną i błahą: wiedzę, świadomość jedności wielkiego życia. Siddhartha powątpiewał wręcz niekiedy, czy ta wiedza, ta myśl była aż tak cenna, czy i ona nie była tylko dziecinnym urojeniem ludzi myślących, ludzi, którzy w myśleniu nazywali się dziećmi. Pod każdym innym zaś względem ludzie żyjący namiętnościami tego świata byli równi mędrcom, ba, często ich przewyższali, tak jak zwierzęta, uparcie i nieomylnie idąc za głosem konieczności mogą się wydawać niekiedy nieco wyższe nad ludzi.

Powoli rozkwitało, powoli dojrzewało w duszy Siddharthy zrozumienie, czym naprawdę jest mądrość, jaki jest cel jego długich poszukiwań. Była to jedynie pewna gotowość duszy, pewna dyspozycja, tajemnicza umiejętność pamiętania w każdej chwili, pośród zgiełku życia o jedności, odczuwania tej jedności, oddychania nią. Powoli w nim dojrzewało, promieniowało ku niemu ze starej, dziecinnej twarzy Wasudewy poczucie harmonii i jedności, świadomość wieczystej doskonałości świata, uśmiech.

Rana jednak ciągle paliła, Siddhartha wspominał tęsknie i z goryczą syna, serce pełne miał miłości i roztkliwienia, oddawał się zgryzocie, popełniał wszystkie szaleństwa miłości. Palący płomień nie chciał wygasnąć sam z siebie.

I któregoś dnia, gdy rana dokuczała mu gwałtownie, Siddhartha, gnany tęsknotą przepłynął się przez rzekę, wysiadł z łodzi i gotów był ruszyć do miasta i odszukać syna. Rzeką płynęła spokojnie — było to w suchej porze roku — ale jej głos brzmiał dziwnie: śmiała się! Najwyraźniej się śmiała. Rzeką śmiała się jasnym, dźwięcznym głosem, wyśmiewała się ze starego przewoźnika. Siddhartha przystanął, pochylił się, aby lepiej słyszeć, i w spokojnie pomykającej wodzie ujrzał odbicie swojej twarzy i w tej odbitej twarzy było coś, co poruszyło jego pamięć, coś dawno zapomnianego, a gdy się skupił, odkrył, co to było: ta twarz podobna była do innej twarzy, którą kiedyś znał, kochał i której nieco się bał. Podobna była do twarzy jego ojca, bramina. I przypomniał sobie, jak to kiedyś, przed laty, jako młody chłopiec, wymusił na ojcu, by ten pozwolił mu iść do pokutników, jak się z nim pożegnał, jak opuścił dom i nigdy nie powrócił. Czy ojciec nie cierpiał przez niego tak samo, jak on teraz przez małego Siddharthę? Czy ojciec nie zmarł już dawno, w samotności, nie

ujrzawszy przed śmiercią syna? Cóż to za komedia, dziwaczna i niedorzeczna historia, powtarzająca się wciąż od nowa, bieg po zaklętym kole?

Rzeka śmiała się. Tak, tak właśnie było, wszystko, co nie zostało do końca wycierpiane i rozwiązane, powracało, bolał ciągle ten sam ból. Siddhartha wsiadł do łodzi i popłynął z powrotem do chaty, myśląc o swoim ojcu i swoim synu, wyśmiewany przez rzekę, wadząc się z samym sobą, gotów rozpaczać i zarazem gotów śmiać się w głos z samego siebie i ze świata. Ach, rana jeszcze się jątrzyła, serce broniło się jeszcze przed losem, cierpienie nie zakwitło jeszcze pogardą i zwycięstwem. Czuł w sobie jednak nadzieję i, kiedy wrócił do chaty, zapragnął gorąco zwierzyć się przed Wasudewą, odsłonić przed nim duszę, Wasudewie, który był mistrzem słuchania, wszystko powiedzieć.

Wasudewą siedział zajęty wyplataniem koszyka. Nie wypływał już łodzią, oczy poczęły mu słabnąć i nie tylko oczy, także ramiona i ręce. Nie zmieniona i wiecznie kwitnąca była tylko radość i pogodna dobroduszość w jego twarzy.

Siddhartha usiadł koło starca i począł z wolna mówić. Opowiadał to wszystko, o czym nigdy przedtem nie mówił, o wyprawie do miasta, o pałacej ranie, o swojej zazdrości na widok szczęśliwych ojców, o tym, że wiedział świetnie, jak niedorzeczne są takie pragnienia, o tym, jak daremnie z nimi walczył. Mówił o wszystkim, o wszystkim mógł mówić, także o tym, co najbardziej bolało, wszystko dawało się powiedzieć, pokazać, o wszystkim mógł opowiadać. Obnażył swoją ranę, opowiedział też o swojej dzisiejszej ucieczce, jak to przeprawił się potajemnie na drugi brzeg, chcąc powędrować do miasta, i o tym, jak rzeka się śmiała.

Mówił, długo mówił. Wasudewa zaś słuchał go z niezmaconym wyrazem twarzy i Siddhartha odczuwał to słuchanie mocniej niż kiedykolwiek, czuł, jak jego boleść, jego obawy przepływają tam, na drugą stronę, jak przepływa jego tajemna nadzieja i stamtąd znowu do niego powraca. Obnażać swoją ranę przed takim słuchaczem było jak kąpiel w rzece, która studzi palący ból i wchłania go w siebie. Mówił dalej, dalej zwierzał się i opowiadał, i czuł coraz bardziej, że słucha go już nie Wasudewa, nie człowiek, że ten, kto go słucha bez słowa, nieporuszony, przyjmuje jego spowiedź jak drzewo przyjmuje deszcz, że jest to sam bóg, sama wieczność. I gdy Siddhartha przestał myśleć o sobie i o swojej ranie, poruszyła go do głębi świadomość tej odmiany Wasudewy, a im bardziej odczuwał i wnikał w to, co się stało, tym mniej się dziwił, tym jaśniej pojmował, że wszystko to zgodne było z porządkiem rzeczy i naturalne, że Wasudewa już dawno, niemal zawsze był taki, a tylko Siddhartha nie

zdawał sobie z tego sprawy, ba — pojął, że on sam już niewiele się od Wasudewy różni. Zrozumiał, że widzi starego Wasudewę tak, jak lud widzi bogów, i że to nie może tak trwać; w duchu począł się żegnać z przyjacielem. Jednocześnie mówił dalej.

Kiedy skończył, Wasudewa zwrócił na niego swoje przyjazne, nieco osłabłe oczy, nie odzywał się, w ciszy promieniowała od niego miłość i pogoda ducha, zrozumienie i wiedza. Ujął Siddharthę za rękę, poprowadził go na brzeg, usiadł tam razem a nim i uśmiechnął się do rzeki.

— Słyszałeś, jak się śmieje — rzekł. — Ale nie słyszałeś jeszcze wszystkiego. Poczekajmy, usłyszysz coś więcej.

Nasłuchiwali. Rzeka śpiewała łagodnie swoim tysięcznym głosem. Siddhartha patrzył w sunącą wodę i w tej wodzie ukazywały mu się obrazy: ukazał mu się ojciec, samotny, oplakujący syna, on sam, samotny i także przykuty do dalekiego syna więzami tęsknoty; ukazał mu się syn, także samotny, niecierpliwie podążający szlakiem płomiennych, młodzieńczych pragnień, a każdy zwrócony ku swemu celowi, każdy nim owładnięty, każdy cierpiący. Rzeka śpiewała głosem cierpienia, śpiewała tęsknie, tęsknie płynęła ku swemu celowi, jej głos rozbrzmiewał skargą.

— Słyszysz? — zapytało nieme spojrzenie Wasudewy.

Siddhartha przytaknął.

— Słuchaj lepiej! — wyszeptał Wasudewa.

Siddhartha starał się słuchać lepiej. Wizerunek ojca, jego własny wizerunek i wizerunek syna zlały się ze sobą, ukazał się też i rozplynął obraz Kamali, i obraz Gowindy, i inne obrazy stapiały się z sobą, jeden przechodził w drugi, wszystkie rozplywały się w rzece, jak rzeka dążyły ku swemu celowi, pełne tęsknoty, pożądania, cierpienia, i głos rzeki tchnął wielką tęsknotą, wielkim palącym bólem, wielkim nienasyconym pragnieniem. Rzeka gdzieś podążała, Siddhartha widział, jak jej pilno, jak ta rzeka, której częścią był on sam i jego bliscy, i wszyscy kiedykolwiek spotkani ludzie, spieszy się, jak fale biegną gnane niecierpliwością i namiętą pasją do celu, do niezliczonych celów, do wodospadu, do morza, do miejsca, gdzie płynie wartki nurt, i każdy cel zostaje osiągnięty, i za każdym już osiągniętym pojawia się nowy, woda przemienia się w parę i wzbija ku niebu, staje się deszczem i spada na ziemię, staje się źródłem, strumykiem, rzeką i znów płynie naprzód, znów płynie. Tymczasem tęskny głos zmienił się. Rozbrzmiewał jeszcze tęsknotą i poszukiwaniem, ale dołączyły się doń inne głosy, głosy radości i cierpienia, głosy dobre i złe, roześmiane i żałosne, setki głosów, tysiące głosów.

Siddhartha nasłuchiwał. Cały zamienił się w słuch, cały pogrążył się w słuchaniu, cały się otworzył, czuł, że oto zgłębił do końca, czym jest słuchanie. Słyszał to wszystko już przedtem, słyszał te niezliczone głosy rzeki, ale dzisiaj brzmiało to inaczej. Nie potrafił ich rozróżnić, nie umiał rozdzielić głosu radości od płaczu, głosów dzieciennych od dojrzałych, wszystkie zlewały się z sobą, skarga tęsknoty i mądry śmiech, okrzyk gniewu i jęki konania, wszystko stało się jednością, splotło się z sobą tysięcznymi węzłami. I wszystko razem, wszystkie głosy, wszystkie cele, wszystkie tęsknoty, cierpienia, uciechy, wszelkie dobro i zło, wszystko to razem stanowiło świat. Wszystko razem stanowiło wielką rzekę dziejów, było muzyką życia. Siddhartha słuchał uważnie rzeki, wsłuchiwał się w rozbrzmiewający tysiącem głosów śpiew, gdy nie szukał w nim już tylko cierpienia ani tylko śmiechu, gdy nie sprzęgał duszy z jakimś jednym głosem i nie wnikał weń swoim ja, ale słyszał wszystko, słyszał całość, słyszał jedność, wówczas wielka pieśń tysiąca głosów stała się jednym, jedynym słowem Om – spełnieniem.

Słyszysz? – zapytał znowu bez słów Wasudewa.

Uśmiech Wasudewy lśnił promiennie, przezierał ze wszystkich bruzd starego oblicza, tak jak ponad wszystkimi głosami rzeki unosiło się Om. Wasudewa uśmiechał się, patrząc na przyjaciela, i taki sam uśmiech pojawił się też na twarzy Siddharthy. Rana zakwitła, cierpienie zajaśniało blaskiem, jego ja stopiło się z jednością.

W tej godzinie Siddhartha przestał walczyć z losem, przestał cierpieć. Jego twarz rozświetliła się pogodną wiedzą, której chcąc nie chcąc wszystko musi się poddać, która zna doskonałość, która godzi się z rzeką dziejów, ze strumieniem życia, dzieli jego cierpienie, dzieli jego radość, przynależy do jedności.

Wasudewa podniósł się, spojrzał w oczy Siddharthy, a gdy ujrzawszy w nich ów pogodny blask wiedzy, dotknął ręką jego ramienia, tak jak zawsze, opiekuńczo, tkliwie, i powiedział:

– Czekałem na tę chwilę, przyjacielu. Ta chwila nadeszła, pozwól mi więc odejść. Długo na nią czekałem, długo byłem przewoźnikiem Wasudewą. Teraz już dosyć. Żegnaj mi, chato, żegnaj mi rzeko, żegnaj Siddhartho!

Siddhartha skłonił się nisko przed odchodzącym:

– Wiedziałem – rzekł cicho. – Odchodzisz do lasu?

– Odchodzę do lasu, odchodzę do jedności – rzekł promiennie Wasudewa.

I promieniejąc odszedł, a Siddhartha patrzył w ślad za nim. Patrzył za nim z głęboką radością, widział jego spokojne kroki, głowę, którą otaczał blask, postać, która tchnęła światłem.

Gowinda

Wraz z innymi mnichami, Gowinda zatrzymał się kiedyś na odpoczynek w owym ogrodzie, który kurtyzana Kamala ofiarowała uczniom Gautamy. Doszły go słuchy o starym przewoźniku, który mieszka nad wodą o jeden dzień marszu stąd i przez wielu uważany jest za mędrca. Kiedy Gowinda ruszał dalej, wybrał drogę wiodącą koło przeprawy, chcąc koniecznie zobaczyć owego przewoźnika. Gdyż, jakkolwiek przez całe życie przestrzegał reguły, a z racji wieku i właściwej sobie skromności cieszył się szacunkiem i czcią młodszych mnichów, w jego sercu nie wygasł niepokój i gorączka poszukiwania.

Dotarł do rzeki, poprosił starego, by go przewiózł, a gdy wysiadali na drugim brzegu, rzekł:

— Świadczysz wiele dobrego nam, mnichom i pielgrzymom, wielu z nas przewiozłeś na drugi brzeg. Czy i ty, przewoźniku, jesteś poszukiwaczem drogi prawdy?

— Mienisz siebie samego poszukiwaczem, o czcigodny — odrzekł Siddhartha i w jego starych oczach zamigotał uśmiech — a czyż nie osiągnąłeś już podeszłego wieku i nie nosisz szaty uczniów Gautamy?

— To prawda, jestem już stary — rzekł Gowinda — ale szukam dalej. Nigdy nie przestanę szukać, takie już chyba moje przeznaczenie. I ty, jak mi się zdaje, kiedyś szukałeś. Czy zechcesz mi coś powiedzieć, o czcigodny?

— Cóż miałbym ci powiedzieć? — rzekł Siddhartha — Może, że za dużo szukasz, że szukając tak dużo, nie możesz znaleźć?

— Jakże to? — rzekł Gowinda.

— Kiedy ktoś szuka — rzekł Siddhartha — wówczas łatwo może się zdarzyć, że oczy jego widzą już tylko to, czego szukają, że nie jest w stanie niczego znaleźć, nic do siebie dopuścić, bo myśli tylko o tym, czego szuka, bo ma przed sobą cel, bo jest opętany myślą o celu. Wszak szukać znaczy mieć cel. Zaś znajdować, to być wolnym, być otwartym, nie mieć żadnego celu. Ty, o czcigodny, jesteś może w istocie

poszukiwaczem, bo goniąc za celem, nie dostrzegasz pewnych rzeczy, które masz przed oczyma.

— Nie do końca cię rozumiem — rzekł Gowinda. — Co masz na myśli?

— Kiedyś, o czcigodny — rzekł Siddhartha — wiele lat temu, byłeś już nad tą rzeką i znalazłeś na brzegu śpiącego człowieka, i usiadłeś przy nim, aby strzec jego snu. Ale nie poznałeś śpiącego, Gowindo.

W zdumieniu, jak urzeczony, mnich patrzył w oczy przewoźnika.

— Jesteś Siddharta? — spytał nieśmiało. — I tym razem bym cię nie poznał! Pozdrawiam cię z serca, Siddhartho, z całego serca cieszę się, że cię widzę. Zmieniłeś się bardzo, przyjacielu. Zostałeś więc teraz przewoźnikiem?

Siddhartha roześmiał się serdecznie.

— Przewoźnikiem, tak. Niektórzy ludzie, Gowindo, muszą się bardzo zmieniać, muszą przywdziewać najróżniejsze stroje, i ja się do nich zaliczam, mój drogi. Witaj mi, Gowindo, i zostań na noc w mojej chacie.

Gowinda spędził noc w chacie, na posłaniu, gdzie swego czasu sypiał Wasudewa. Zadał przyjacielowi młodości wiele pytań, Siddhartha musiał mu wiele ze swego życia opowiedzieć.

Gdy nazajutrz przyszała pora podjęcia wędrówki, Gowinda rzekł z pewnym wahaniem:

— Zanim pójdę dalej, Siddhartho, pozwól mi zadać jeszcze jedno pytanie. Czy masz jakąś naukę? Czy masz jakąś wiarę albo wiedzę, którą się kierujesz, która pomaga ci żyć i być prawym człowiekiem?

— Wiesz przecież, mój miły — rzekł Siddhartha — że już jako młody człowiek, wtedy, u pokutników w puszczy, straciłem zaufanie do nauk i nauczycieli, i począłem odwracać się do nich plecami. I tak zostało. A jednak miałem do tej pory wielu nauczycieli. Przez dłuższy czas moją nauczycielką była piękna kurtyzana, moimi nauczycielami był bogaty kupiec i paru ludzi, którzy trawili życie na grze w kości. Moim nauczycielem był pewien wędrowny uczeń Buddy, który usiadł przy mnie, kiedy zasnąłem w puszczy, na pielgrzymce. Od niego też się czegoś nauczyłem, jemu także jestem wdzięczny. Ale najwięcej nauczyłem się tu, od tej rzeki, i od mego poprzednika u przeprawy, Wasudewy. Wasudewa był bardzo prostym człowiekiem, nie żadnym myślicielem, ale wiedział to, co jest konieczne, tak samo jak Gautama, osiągnął doskonałość, był świętym.

— Wydaje mi się, Siddhartho — rzekł Gowinda — że ciągle jeszcze lubisz sobie trochę kpić. Wierzę ci i wiem, że nie poszedłeś za żadnym nauczycielem. Ale czy sam nie znalazłeś, jeżeli już nie jakąś naukę, to chociaż jakąś myśl, jakąś wiedzę, jakąś pewność, która pomaga ci żyć? Gdybyś zechciał mi coś o tym powiedzieć, ucieszyłbyś moje serce.

— Owszem — rzekł Siddhartha. — Były takie myśli, zdarzały mi się chwile pewności, to prawda. Czasem, przez moment albo przez cały dzień, czułem w sobie pewność, tak jak się czuje życie w swoim sercu. Owszem, były takie myśli, ale nie potrafiłbym ci ich przekazać. Widzisz, Gowindo, jedna z tych myśli jest taka: mądrości nie daje się przekazać.

Gdy mędrzec stara się przekazać jakąś mądrość, brzmi to zawsze jak głupstwo.

— To chyba żarty — rzekł Gowinda.

— Nie, to nie żarty. Opowiadam ci tylko, do czego doszedłem. Można przekazywać wiedzę, ale nie mądrość. Mądrość można znaleźć, można nią żyć, można się na niej wspierać, można dzięki niej czynić cuda, ale wypowiedzieć jej i nauczać nie sposób. Domyślałem się tego już jako chłopak i to właśnie odsunęło mnie od nauczycieli. Dokonałem pewnego odkrycia, Gowindo, które ty znowu uznasz za żart albo za błazeństwo, ale to najbardziej cenna z moich myśli. Oto przeciwieństwo każdej prawdy jest równie prawdziwe! Prawdę można przecież wypowiedzieć i ubrać w słowa tylko wtedy, gdy jest to prawda jednostronna. Wszystko, co ma postać myśli i daje się wyrazić słowami, jest jednostronne, jest połowiczne, brakuje mu całości, dopełnienia, jedności. Gdy wzniosły Gautama nauczał o świecie, musiał go podzielić na sansarę i nirwanę, na złudzenie i prawdę, na ból i wyzwolenie. Inaczej się nie da, kto chce nauczać, nie ma przed sobą innej drogi. Ale sam świat, to, co jest wokół nas i w nas w środku nigdy nie jest jednostronne. Żaden człowiek ani żaden uczynek nie należy całkowicie do sansary ani do nirwany, żaden człowiek nie jest do końca grzeszny ani święty. Tak się wydaje, owszem, ponieważ ulegamy złudzeniu, iż czas jest czymś rzeczywistym. Czas nie jest czymś rzeczywistym. A jeśli czas nie jest rzeczywisty, to i ta odległość, jaka zdaje się dzielić świat od wieczności, cierpienie od szczęścia, zło od dobra, jest tylko złudzeniem.

— Jakże to? — spytał niespokojnie Gowinda.

— Posłuchaj mnie, mój miły, słuchaj mnie dobrze! Grzesznik, taki jak ja i taki jak ty, jest grzesznikiem, ale kiedyś znowu złączy się z brahmanem, osiągnie kiedyś nirwanę, będzie buddą i teraz zobacz: to "kiedyś" jest złudzeniem, jest tylko

przenosią! Naprawdę bowiem nie jest tak, że grzesznik przebywa jakąś drogę, by stać się buddą, nie staje się nim w trakcie rozwoju, choć nasz umysł nie potrafi sobie tego inaczej wyobrazić. Nie, w grzeszniku jest już teraz dzisiaj przyszły budda, cała jego przyszłość już w nim jest zawarta i w tym grzeszniku, w sobie samym, w każdym człowieku należy wielbić przyszłego, możliwego, ukrytego buddę. Świat, przyjacielu, nie jest doskonały ani też nie zbliża się powoli do doskonałości, nie: jest doskonały w każdej chwili, wszelki grzech zawiera w sobie już łaskę, każde dziecko nosi w sobie starca, każdy noworodek śmierć, każdy umierający wieczne życie. Nikomu z ludzi nie jest dane ocenić, jak daleko inny zaszedł na swej drodze, w zbójcu i hulace czeka już budda, w braminie czeka zbój. Głęboka medytacja pozwala ci znieść czas, widzieć naraz wszelkie życie niegdyś, obecne i przyszłe, i wtedy wszystko jest doskonałe, wszystko jest brahmanem. Dlatego wszystko, co jest, zdaje mi się dobre, śmierć na równi z życiem, grzech na równi ze świętością, roztropność na równi z głupotą, wszystko musi być takie, jakie jest, potrzeba tylko mojej zgody, mojej dobrej woli, mojego przyzwolenia, a wszystko jest dla mnie dobre, może mnie tylko wesprzeć, nie może mi szkodzić. Na własnym ciele i duszy doświadczyłem, że potrzeba mi było grzechów, potrzebna mi była rozpusta, chciwość, próżność i najstraszniejsze zwątpienie, aby nauczyć się uległości, aby pokochać świat, aby nie porównywać go z jakimś przez siebie wymarżonym, wyobrażonym światem, z wymyślonym jakimś rodzajem doskonałości, tylko zostawić go takim, jakim jest, i kochać go i cieszyć się, że do niego należę. Takie między innymi są moje odkrycia, Gowindo.

Siddhartha pochylił się, podniósł z ziemi kamień i ważył go w dłoni.

— Oto — mówił bawiąc się — jest kamień, a w jakimś określonym momencie stanie się ziemią, a z ziemi wyrośnie roślina, albo zwierzę, albo człowiek. Otóż kiedyś powiedziałbym tak: "Ten kamień jest tylko kamieniem, nie ma żadnej wartości, należy do świata pozorów; ale że w kole przemian może stać się także człowiekiem albo duchem, przywiązuję do niego wagę". Tak może myślałbym kiedyś. Dzisiaj natomiast myślę inaczej. Ten kamień jest kamieniem, jest, także zwierzęciem, jest także bogiem, jest także buddą, nie obdarzam go czcią i miłością, dlatego, że kiedyś mógłby stać się tym czy owym, ale dlatego, że jest kamieniem, że dziś, teraz, jawi mi się jako kamień, właśnie dlatego go kocham i widzę sens i wartość w każdej jego żyłce i zagłębieniu, w żółtej i szarej barwie, w twardości, w dźwięku, jaki z siebie wydaje, gdy go ostukuję, w jego suchej albo wilgotnej powierzchni. Niektóre kamienie są w dotyku jak oliwa albo mydło, inne jak listki, jeszcze inne jak piasek, a każdy jest szczególny, każdy na swój

sposób wymawia Om, każdy jest cząstką brahmana, ale jednocześnie i zupełnie tak samo jest kamieniem, jest gładki jak oliwa albo jak mydło, i właśnie to mi się podoba, właśnie to wydaje mi się cudowne i godne uwielbienia. Ale nie pozwól mi więcej o tym mówić. Słowa wyrządzają krzywdę tajemnemu sensowi, gdy się coś wypowiada na głos, wszystko się od razu zmienia, robi się trochę fałszywe, trochę głupawe — zresztą to też jest dobre, to też mi się podoba, z tym też się całkowicie zgodzę, że coś, co dla jednego jest skarbem i mądrością, dla drugiego trąci zawsze głupotą.

Gowinda słuchał w milczeniu.

— Dlaczego powiedziałeś mi o tym kamieniu? — spytał z ociąganiem po dłuższej chwili.

— Bez żadnego zamysłu. A może chodziło o to, że właśnie Kocham ten kamień, i tę rzekę, i wszystkie rzeczy, które możemy oglądać, i od których możemy się uczyć. Mogę kochać kamień, Gowindo, i drzewo, i kawałek kory. To wszystko są rzeczy, a rzeczy można kochać. Nie umiem tylko kochać słów. Dlatego nauki to nie dla mnie, nauki nie mają konsystencji, nie mają barwy, kształtu, zapachu, smaku, mają tylko słowa. Może właśnie dlatego nie możesz znaleźć ukojenia, może przeszkadza ci ten nadmiar słów. Bo wybawienie i cnota, sansara i nirwana to przecież tylko słowa, Gowindo. Nie ma niczego takiego, co byłoby nirwaną, jest tylko słowo nirwana.

— Nirwana to nie tylko słowo, przyjacielu — rzekł Gowinda. — To pewna myśl.

Siddhartha ciągnął dalej:

— Myśl, zgoda. Muszę ci coś wyznać, mój drogi: nie bardzo widzę różnicę między myślami a słowami. Szczerze mówiąc, nie cenię zbyt wiele myśli. Znacznie bardziej cenię rzeczy. Tu, u tej przeprawy, moim poprzednikiem i nauczycielem był pewien święty człowiek, który przez długie lata wierzył po prostu w rzekę, w nic poza tym. Zauważył, że głos rzeki do niego przemawia, uczył się od niej, rzeka go wychowywała i pouczała, była dla niego bogiem, przez wiele lat nie wiedział, że każdy powiew wiatru, każda chmura, każdy owad ma równie boską naturę, i wie tyle samo, i może tyle samo nauczyć, co rzeka, którą czcił. Ale kiedy ten święty człowiek odszedł do lasu, wiedział już wszystko, wiedział więcej niż ty i ja, bez nauczycieli, bez ksiąg, tylko dlatego, że wierzył w rzekę.

— Ale czy to, co nazywasz “rzeczami” — rzekł Gowinda — jest czymś prawdziwym, czymś istotnym? Czy nie jest to tylko złudzenie, jedynie obraz i pozór? Czy twój kamień, twoje drzewo, twoja rzeka — czy to jest prawdziwy byt?

— Nawet to — rzekł Siddhartha — niezbyt mnie martwi. Niechby rzeczy były pozorem, tak jak one. Właśnie dlatego są mi tak drogie i tak godne uwielbienia — bo są takie jak ja. Dlatego mogę je kochać. I oto nauka, z której będziesz się śmiał, Gowindo: najważniejsza wydaje mi się miłość. Rozszyfrowywać świat, objaśniać go, gardzić nim to rzecz wielkiego myśliciela. Mnie zaś zależy tylko na tym, żeby kochać świat, nie gardzić nim, nie nienawidzić samego siebie ani świata, móc podchodzić do świata i do siebie i do wszystkich istnień z miłością, z podziwem i z szacunkiem.

— Rozumiem — rzekł Gowinda. — Ale wszak to właśnie Wzniosły uznał za ułudę. Wzniosły nakazuje dobrą wolę, wyrozumiałość, współczucie, cierpliwość, ale nie miłość; zakazuje nam wiązać serce miłością do rzeczy ziemskich.

— Wiem — rzekł Siddhartha, a jego uśmiech jaśniał słonecznie. — Wiem o tym, Gowindo. I zobacz, oto utknęliśmy w gąszczu poglądów, w sporze o słowa. Bo nie mogę zaprzeczyć, że moje słowa o miłości są sprzeczne, pozornie sprzeczne ze słowami Gautamy. Dlatego właśnie jestem taki nieufny wobec słów, bo wiem, że ta sprzeczność jest pozorna. Wiem, że jestem w zgodzie z Gautamą. Jak to możliwe, by On nie znał miłości? On, który rozpoznał całą ulotność, całą nicość człowieczego istnienia, a mimo to kochał ludzi tak bardzo, że poświęcił całe długie, pełne mokołu życie, by im pomagać, by ich uczyć. Gdy chodzi o twego wielkiego nauczyciela, to także wolę rzecz od słowa, jego uczynki i życie są dla mnie ważniejsze niż jego przemowy, gest ręki ważniejszy niż jego poglądy. Nie w mówieniu, nie w myśleniu widzę wielkość, tylko w uczynkach, w życiu.

Obaj starcy długo milczeli. Potem odezwał się Gowinda, szykując się do pożegnania.

— Dziękuję ci, Siddhartho, że podzieliłeś się ze mną swymi myślami. Po części dziwne to myśli, nie wszystkie pojąłem od razu. Ale tak czy inaczej, dziękuję ci i życzę ci spokojnych dni.

(W duchu myślał zaś tak: dziwak z tego Siddharthy, dziwaczne wypowiedzi myśli, jego nauka brzmi głupkowato. Nauka Wzniosłego jest inna, jaśniejsza, czystsza, bardziej zrozumiała, nie ma w niej nic dziwaczного, głupkowatego ani śmiesznego. Ale inne wrażenie niż myśli sprawiają na mnie ręce Siddharthy, stopy, oczy, czoło, oddech, uśmiech, gest pozdrowienia, chód. Nigdy, odkąd Wzniosły dostąpił nirwany, nigdy odtąd nie spotkałem człowieka, na którego widok poczułbym: oto święty! Tylko on, tylko Siddhartha robi takie wrażenie. Nauka jego może brzmieć dziwacznie, słowa mogą brzmieć nedorzecznie, ale spojrzenie, ręce, skóra, włosy, wszystko w nim

tchnie taką czystością, spokojem, pogodą, taką łagodnością, jakich od ostatniej śmierci naszego wzniosłego nauczyciela nie spotkałem u nikogo).

— Siddhartho — rzekł — jesteśmy już starzy. Nie ujrzymy się już pewnie w tej postaci. Widzę, mój miły, że znalazłeś pokój. Wyznaję, że ja go nie znalazłem. Powiedz mi, czcigodny, jeszcze jedno słowo, daj mi coś, co mógłbym uchwycić, co mógłbym zrozumieć. Daj mi coś na drogę. Ta droga jest często trudna, Siddhartho, często niewesoła.

Siddhartha milczał i patrzył nań ciągle z tym samym, łagodnym uśmiechem. Gowinda wpatrywał się w jego twarz bez ruchu, z niepokojem i tęsknotą. W jego spojrzeniu zapisane było cierpienie i wieczne poszukiwanie, wieczna niemożność znalezienia.

Siddhartha widział to i uśmiechał się.

— Pochyl się nade mną — wyszeptał mu cicho do ucha. — Pochyl się! Tak, jeszcze bardziej! Całkiem blisko! Pocałuj mnie w czoło, Gowindo!

Gowinda, zdumiony, a zarazem przejęty wielką miłością i czcią usłuchał go, pochylił się i dotknął wargami jego czoła. Wtedy stało się coś dziwnego. Podczas gdy myślami był jeszcze przy dziwacznych słowach Siddharthy, gdy daremnie i opornie próbował jeszcze usunąć z myślenia czas, wyobrazić sobie nirwanę i sansarę jako jedność, gdy pewna pogarda dla słów przyjaciela toczyła w nim walkę z ogromną miłością i szacunkiem, wydarzyło się oto tak: nie widział już twarzy Siddharthy, zamiast niej widział inne twarze, dużo, długi szereg, rzekę twarzy, setki, tysiące twarzy, które pojawiały się i znikaly, a jednak wszystkie zdawały się obecne, zmieniały się bezustannie i odnawiały, ale wszystkie były Siddharthą. Widział pyszczek karpia, boleśnie rozwany pyszczek zdychającej ryby o przejmującym wyrazie oczu; widział twarzyczkę noworodka, czerwoną i pomarszczoną, wykrzywioną płaczem; widział twarz mordercy, widział jak zagłębia nóż w ciele innego człowieka, widział w tym samym momencie, jak ów złoczyńca klęczy skuty, a kat ucina mu głowę; widział ciała mężczyzn i kobiet nagie, splecione w różnych pozycjach i zapasach szaleńczej miłości; widział trupy, nieruchome i zimne; widział głowy zwierząt, dziki, krokodyle, słonie, barany, ptaki; widział bogów, Krisznę i Agni; widział wszystkie te postacie w tysięcznych odniesieniach do siebie nawzajem, jak sobie pomagają, jak się kochają, nienawidzą, niszczą, rodzą na nowo, i każda naznaczona była wolą śmierci, każda dawała bolesne świadectwo przemijania, a przecież żadna nie umierała, ulegała tylko przemianom, rodziła się na nowo, otrzymywała nową twarz, choć wszystko działo się

w jednym czasie — i wszystkie te postacie i twarze płynęły, wylaniały się, rozplywały się i stapiały ze sobą, a wszystko to okrywała jakby cieniutka powłoka, nieuchwytna, ale rzeczywista, jak cienkie szkło albo warstewka lodu, jak przezroczysta skóra, łupina albo forma czy maska wodna i maska ta uśmiechała się i była uśmiechniętą twarzą Siddharthy, której Gowinda w tej samej chwili dotknął ustami. I — tak to widział Gowinda — ten uśmiech maski, ten uśmiech jednoczesności ponad tysiącem narodzin i śmierci, ten uśmiech Siddharthy był dokładnie taki sam, tak samo łagodny, subtelny, nieprzenikniony, może dobrotliwy, może drwiący, jak mądry, wybiegający z tysięcznych zmarszczek uśmiech Buddy, który Gowinda setki razy z szacunkiem oglądał. Gowinda wiedział, że tak uśmiechają się ci, którzy osiągnęli doskonałość.

Nie zdając sobie sprawy, czy czas jest, czy ta wizja trwała sekundę czy wiek, nie wiedząc, czy jest jakiś Siddhartha, jakiś Gautama, czy jest jakieś ja i jakieś ty, jak gdyby ugodzony w serce boską strzałą, czując boski ból tej rany, urzeczony i wyzwolony, Gowinda stał jeszcze chwilę, pochylony nad spokojnym obliczem Siddharthy, które jeszcze przed chwilą ucałował, które przed chwilą było sceną wszelkich postaci, wszelkiego stworzenia, wszelkiego bytu. Twarz ta pozostała niezmieniona, pod powierzchnią zamknęła się głębia tysięcznych kształtów, Siddhartha uśmiechał się spokojnie, łagodnie i tkliwie, może z wielką dobrocią, może z wielką drwiną, dokładnie tak samo jak Wzniosły.

Gowinda skłonił się nisko, łzy, których nie czuł, płynęły mu po starej twarzy, w sercu jak ogień płonęło uczucie najgłębszej miłości, pokornej czci. Pokłonił się nisko, aż do ziemi, przed nieruchomo siedzącą postacią, której uśmiech przypominał mu wszystko, co kiedykolwiek miało dla niego wartość, co było mu drogie i święte.